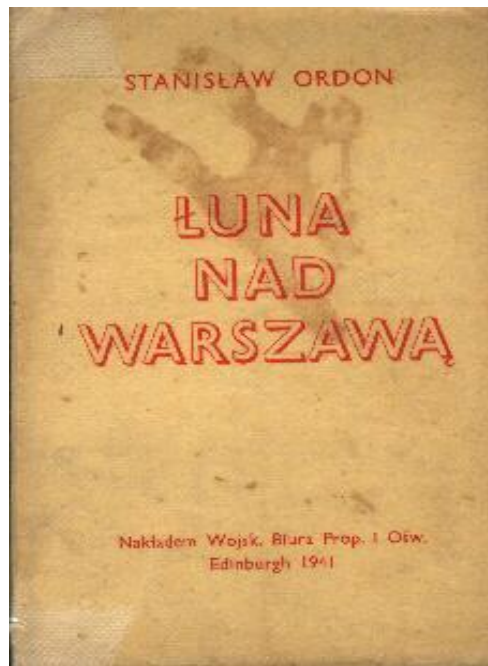


Stanisław Ordon
**Łuna
nad
Warszawą**

Thomas Nelson and Sons
Ltd
Nakładem
Wojsk. Biura Prop. i
Ośw.
Edinburgh 1941
(str. 82)

egzemplarz z księgozbioru
Wisi Schwieters
Auckland, Nowa Zelandia



SPIS RZECZY

[7 września](#)
[8 września](#)
[9 września](#)
[10 września](#)
[11 września](#)
[12 września](#)

[13 września](#)
[14 września](#)
[15 września](#)
[16 września](#)
[17 września](#)

[18 września](#)
[19 września](#)
[20 września](#)
[21 września](#)
[22 września](#)

[23 września](#)
[24 września](#)
[25 września](#)
[26 września](#)
[27 września](#)
[28 września](#)
[Fotografie](#)



7 - 12 września 1939

7 września.

W siódmym dniu wojny polsko-niemieckiej dojechaliśmy od zachodu do Warszawy. Okres walk pogranicznych w okolicy mego wojennego garnizonu Kalisza był już zakończony. Dywizja tamtejsza odparła wszystkie natarcia niemieckie, zadała swemu przeciwnikowi poważne straty i z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku, ale nie bez żalu opuszczała na rozkaz swoje obetonowane pozycje, zagrożona głębokim obejściem zmotoryzowanych korpusów. A potem przyszły ciężkie dni odwrotu wśród ciągłych nalotów lotniczych i trzaskających bomb niemieckich. Za nami zostawały spalone miasta: piękny historyczny Łowicz, niewielki i tak nikomu nieszkodliwy Piątek, ledwo odbudowany z gruzów po wojnie światowej Sochaczew i zgliszcza kilkudziesięciu wsi położonych po obu stronach drogi z Łęczycy na Warszawę. Jeszcze brzmiały w uszach przekleństwa rzucane na Niemców przez tysiące uchodźców pozbawionych dachu nad głową, jeszcze w oczach pozostał obraz pokaleczonych straszliwie zwłok leżących wśród płonących domów.

Przejazd dla szofera był przykry, bo droga zapchana kolumnami taborów wojskowych i wozami uchodźców z pod Poznania, Torunia, Inowrocławia i Kalisza. Obraz tak znany z roku 1914 i dalszych, gdy to zarówno na ziemiach polskich jak i francuskich tysiące 5 ludzi wygnanych wojną ze swych siedzib szło na oślep przed siebie, byle wyjść z pod ognia dział i karabinów. W dzisiejszej kampanii los ich jest gorszy. Opuszczając palące się miasta i wsie trafiają oni pod dalsze naloty bombowców i giną na drogach nierozpoznani przez nikogo.

Podróż odbywać nam przyszło jak wszystkim ze zgaszonymi światłami, to też o mało co nie wpadliśmy kilka razy w leje wyrwane na szosie. Pełnia księżycowa nas ratowała. Ta od tygodnia trwająca pogoda stała się nieszczęściem dla Polski.

Przy dojeździe do miasta szofer był już tak przemęczony, że dopiero w ostatniej chwili zahamował gwałtownie przed wyrosłą nagle przeszkodą na środku ulicy i cudem uniknął z nią zderzenia. Była to jedna z tych setek barykad, jakie ludność Warszawy zbudowała w ciągu dwóch ostatnich dni. Składały się na nie przewrócone wozy tramwajowe, wyrwane płyty chodników, deski i sztaby żelazne z ogrodzeń. Nie wszystkie miały wartość przeciwczołgową, saperzy będą musieli je przerobić, ale widok tych barykad świadczy o jednym: mocnej woli całej ludności niedopuszczenia Niemców do stolicy. Warszawa chce i będzie się bronić !

By nie szukać po nocy kwatery, zajechaliśmy do pierwszego z brzegu bloku domów robotniczych, otworzono nam świetlicę, przespaliśmy się dwie godziny na ławach.

8 września.

Nad ranem zbudził nas gwar rozmów. To jakieś panie wprowadziły kilkadziesiąt chłopców i dziewczynek na śniadanie do izby. Pogubione przez rodziców w czasie nalotów dzieci, pozbierane po drogach. Nie wiadomo czy nie są już sierotami. Przed śniadaniem modlą się chórem o zwycięstwo dla Polski.

Przygotowanie do obrony stolicy postępuje. Setki i tysiące mieszkańców bez względu na wiek i stan zgłosiło się od rana do kopania rowów przeciwczołgowych. Adwokat w meloniku obok eleganckiej damy, robotnik obok akademika. Oto bezpośredni skutek tych kilku zuchwałych wtargnięć niemieckich samochodów pancernych na przedmieścia Warszawy od Mokotowa, które miały ludność zastraszyć.

Historia jednego z tych wypadów godna zanotowania. Oto trzy czołgi licząc na moment zaskoczenia wtoczyły się na ulicę Warszawy i pierwszy z nich dojechał aż pod Plac Unii Lubelskiej. Zdarzyło się, że wśród publiczności rozbiegającej się na wszystkie strony i chroniącej się do bram domów znalazł się wysłużony podoficer broni pancernej, z zawodu szofer, który siedł właśnie z bańką benzyny do garażu. Widząc posuwający się samochód niemiecki przyczał się w myśl regulaminu gdzieś z boku, a gdy go czołg minął chlusnął benzyną i podpałił zapalką ślad wozu. Ogień wybuchającej benzyny przebiegł po asfalcie i objął cały wóz. Załoga wyskoczyła. Teraz publiczność rzuciła się na żołnierzy niemieckich i byłaby ich rozerwała na strzępy, gdyby nadbiegły posterunek żandarmerii wojskowej nie był ich uratował. Dwa inne czołgi wycofały się już na widok ognia z miasta.

Spalony czołg pozostał na placu jako bezduszna i już nikomu niegroźna masa żelaza. Gdy tylko ochłódł z żaru przetoczono go w triumfie na barykadę wzmacniając jej wytrzymałość. Długo

jeszcze tłum ciekawych oglądał pierwszą zdobycz póki kilka granatów lekkiej artylerii nie padło na miasto. Ludzie rozeszli się, ale te strzały na nikogo wrażenia już nie robiły. Wszak ilość nalotów w ciągu tygodnia wojny obliczył mój dwunastoletni bratanek na trzydzieści siedem. Tyleż razy odzywały się w mieście syreny, głośniki radiowe ustawione po placach zapowiadały pospiesznie stan alarmowy i tyleż razy wędrować przychodziło całym rodzinom do schronów piwnicznych.

Służbę w Komendzie Miasta już rozpocząłem. Chaos tam jeszcze panuje: niełatwo przygotować milionowe miasto do obrony. Zgłasza się tam po przydziały setki ludzi, z którymi nie bardzo wiadomo co robić. Porucznik rezerwy J., twórca pięknych fresków i witraży w kościołach melduje się po starej znajomości u mnie. Ten znajdzie: utworzy komisję dla ochrony dzieł sztuki. Zaraz dziś zbierze znajomych artystów, by ratować zabytki. Kto przypuszczał, że w ósmym dniu wojny już będą narażone na obstrzał działowy.

Na obiad zaszedłem na chwilę do Hotelu Europejskiego. Karta dań wygląda normalnie. Sala pełna publiczności. Po tygodniu frontowych walk na granicy i wrażeniach ostatnich dni obiad ten tworzy dziwny kontrast. Jeszcze resztką spokojnego życia podczas wojny.

Ledwo wróciliśmy do sztabu, odezwały się syreny i za chwilę karabiny maszynowe ustawione na wieżycze Bristolu i na dachu Hotelu Europejskiego rozpoczęły trajkot. Artyleria z Ogrodu Saskiego wzięła również pod ogień niemieckie płatowce. Jeden z nich opadł na Marszałkowskiej. Pilot i obserwator zabici. Przyniesiono ich książeczki wojskowe do Komendy. Nazwisko pilota o brzmieniu polskim — Albert Jedynak, słuchacz teologii katolickiej z Wrocławia, lat 21. Jakaś tragedia bije z tych urzędowych danych. Przecie ,to Górnosłazak, a więc z krwi Polak z tej części Górnego Śląska, która pozostała przy Niemczech, wychowany od dziecka w duchu hitlerowskim, który pomimo to chciał życie poświęcić w służbie miłości Boga i ludzi, a nie w służbie przemocy. Był dzielny, skończył kurs lotniczy, zginął nad Warszawą bombardowaną przez jego eskadrę. Przemoc zła wciągnęła w dzieło zniszczenia i tego ucznia zakonu miłości.

9 września.

Dziś Praga z drugiej strony Wisły miała swój ciężki dzień. Niemcy zachodzą od Prus Wschodnich i zamierzają widać zdobyć Warszawę od wschodu. Przez cztery godziny trwał nalot. Z okien naszej komendy widać płonący Targówek, Stare Bródno, a jak mówią część pięknej dzielnicy willowej na Saskiej Kępie również uległa zniszczeniu. Mosty na Wiśle szczególnie były mocno obrzucane bombami, ale bez skutku, ruch na nich

jeszcze dotąd możliwy, lecz uchodźcy boją się już je przekraczać i pozostają w mieście. Całe kolumny taborów rozkwaterowały się po parkach. Błąkające się od ustrzelonych wozów konie szczypią trawę. Kilka z nich rannych. Trzeba by prędko je dobić.

Zgłosiła się do Komendy Miasta znana pianistka panna M. L. Wczoraj dała ogłoszenie do radia o pomoc w organizowaniu szpitala w gmachu uniwersyteckim, dziś zwieziono jej lub przyniesiono na plecach tyle łóżek, kolder, bielizny, sprzętu, że w dziesięć godzin szpital był urządzony. Współpraca całej ludności budzi po prostu podziw.

W godzinach popołudniowych wyrwałem się na chwilę do żony i dzieci, które przygarnęły znajome panie. Właśnie przyszedł nowy nalot. Nasza dwunastoletnia córeczka nie zdążyła nałożyć płaszcza, więc niosąc go w ręku wybiegła z pokoju do sieni, by zbiec do schronu. Bomba trzasła obok za oknem i odłamek przebijając szybę rozerwał jej futerko. Ona wyszła cało, bardzo dumna z tego, że została już bezpośrednio ostrzelana. A myśmy z żoną tylko popatrzeni sobie chwilę w oczy.

Zaczęto wołać, że dom sąsiedni pali się. Wyszedłem na ulicę, by sprawdzić. Jakaś dama rzuciła się ku mnie:

»Pułkownik ratuj, mieszkanie w płomieniach, pan pójdzie ze mną, pan mnie nie opuści, pan mnie ochroni, pan mnie przygarnie«. Wzięła mnie pod rękę, przytulila się, zaczęła śmiać się, potem poszła prosto przed siebie. Wiadomo, uraz nerwowy. Znamy go z frontu. W miarę trwania wojny, zdarzać się będzie już rzadziej.

Rodzinę muszę gdzieś przewieźć, do domu nowszej konstrukcji i o lepszych piwnicach niż ten osiemnastowieczny budynek. Sam zgłaszam się o przydział na Pragę.

10 września.

Obejmuję funkcje w dowództwie obrony Pragi. Po wczorajszej kanonadzie nerwy nie tylko ludności, ale i oficerów i to dekorowanych za odwagę w dawniejszych wojnach, mocno wstrząśnięte. Szkoła, w której mieścił się wczoraj sztab, rozwalila się w gruzy. Najgorszy był jednak pożar szpitala Przemienienia Pańskiego naprzeciw kościoła św. Floriana. Kilkuset rannych już w nim leżało. Gdy się zapalił od bomb, powstał popłoch. Żołnierz z amputowanymi świeżo nogami próbował na łokciach wyczołgać się z ognia, inni skakali z okien wyższych pięter na bruk, dużo lekarzy i siostr zginęło ratując chorych, gdy największa sala zawałiła się nagle. Kto widział pożar szpitala, ten Niemcom tego nigdy nie zapomni.

A dziś znowu bomby rozbily szpital Chirurgii Urazowej w

Warszawie. Stał z dala od koszar i obiektów wojskowych, zbudowany był przed dwoma laty specjalnie w celu szkolenia lekarzy dla ran urazowych, a więc powstałych w katastrofach ulicznych i kolejowych, w wypadkach przy pracy itp. Wszyscy lekarze wojskowi musieli przechodzić w nim praktykę, by doszkolić się do wymagań służby wojennej. Urządzenia miał świetne. Zнали go piloci niemieccy z Lufthansy **), którzy utrzymywali komunikację pasażerską między Berlinem a Warszawą. I ten szpital został też rozbity. Skoro i pociągi Czerwonego Krzyża wywożące rannych z Warszawy do Brześcia zostały już dwukrotnie w drodze zbombardowane, to system »totalnej niemieckiej wojny« wychodzi na jaw z całą jasnością. Żołnierz polski musi wiedzieć, że gdy będzie ranny, to wówczas opieki nie dozna i grozi mu spalenie żywcem, lub śmierć w czasie przewozu. Niech odwaga jego na tym ucierpi. Ale Niemcy myślą się. Bo zaciętość i nienawiść do wroga tylko wzrasta.

Oto znów obraz widziany oczyma kpt. W. Z., który dziś przybył z Brześcia. Na całej trasie Brześć-Warszawa spalone lub zburzone miasta i siola, na drogach wałęsają się bezpańskie ranne konie uchodźców. A oni kierując się na wschód przed pożogą narzuconej nam wojny ścielą swym ciałem drogi i rowy przydrożne. Przecież młody lotnik niemiecki tak chętnie lubi strzelać do bezbronnych tłumów i zwierząt, ucząc się praktycznie lotu koszącego.

Tuż za Mińskiem Mazowieckim leży w rowie przydrożnym trup młodej matki z niemowlęciem przy boku, a niedaleko od niej jej inwentarz: krowa z przewieszonym przez szyję długim łańcuchem, jedyna może żywicielka całej rodziny, którą uchodząc przed wrogiem prowadziła za sobą. Jeszcze dalej w polu leżą zwłoki jakiegoś wieśniaka z 15-letnim wyrostkiem i kilkanaście gęsi — ofiary nalotów niemieckich na tym terenie.

Koło Międzyrzecza znów pojedynczy samochód staje się celem ataku; rzucona bomba termiczna trafia akurat w pudło będącego w ruchu samochodu, który w jednej sekundzie został objęty ogniem. Siłą rozpędu wóz toczy się jeszcze parę metrów po to, by już razem ze zwęglonymi zwłokami dwóch młodych lotników wyrzucić się do góry kołami do przydrożnego rowu.

Nawet położony za Międzyrzeczem cichy zakątek Pratuliniński, który w pamiętnych latach naszych powstań narodowych oparł się zawierusze moskiewskiej i najstraszliwszym w dziejach prześladowaniom religijnym na Podlasiu, tym razem się ostać nie mógł. Oto trzy bombowce lecące z kierunku Białej Podlaskiej, tak zaciekle przez Niemców bombardowanej, zniżyły się na wysokość lotu koszącego t. j. 8—10 metrów i hulając bezkarnie siały pożogę krwi i zniszczenia. Wracaly znów po paru minutach, by oglądać swe dzieło niszczycielskie i siec kulami tych, co by ośmielili się ratować płonące mienie ludności. Tu ludność unicka z rozpaczą w oczach i goryczą w sercu wołając o pomstę do Boga na wezwanie zarządcy folwarku p. J. G. uparcie broniła dobytku swych bliźnich, mimo że Niemiec

siekl nadal seriami kul ze swego samolotu.

Tak więc w praktyce wyglądał rozkaz wydany do lotnictwa niemieckiego o oszczędzaniu w tej wojnie miast i osiedli otwartych.

Sztab zakwaterował się na malej niepozornej uliczce bocznej, w mieszkaniu prywatnym pierwszego piętra, opuszczonym przez właścicieli. Trochę przykro kulturalnemu człowiekowi być takim intruzem. Po obrazach, meblach, książkach znać wartość duchową państwa domu. Ale szyb w oknach już nie ma, drzwi od podmuchu były wyrwane. I tak groził rabunek.

Kłopot był dziś z jedzeniem, bo żadnej kuchni żołnierskiej nie ma w pobliżu, a sklepy i restauracje po wczorajszym piekielnym dniu już zamknięte.

Po południu będąc krótko w mieście przenieśli rodzinę, umieścili ją w okolicy ulicy Wiejskiej. Śmieszne jest poczucie odpowiedzialności za wybór domu. Trafi w niego bomba, czy nie trafi ?! Trzeba to Bogu polecić.

Wieczorem dowódca grupy pułkownik J. wyznaczył odprawę. Pochylił nad mapami szczegółowymi miasta, które jako odbitki tak niedawno jeszcze sprzedawane były turystom na ulicach miasta — wyznaczamy szczegółowy zarys pozycji obronnych, podział sił, linie rozgraniczenia. Batalionów tak mało, że trzeba przyczółek obejmujący dostęp do wszystkich czterech mostów jak najciaśniej ustalić. Będzie to słuszne dla obrony, ale ciężkie dla miasta, bo artyleria nieprzyjacielska zdoła bliżej zająć stanowiska i pewnie ostrzeliwać stolicę.

Włączymy tory kolejowe koło stacji Praga, potem Targówek, a właściwie już tylko gruzy pozostałe po spaleniu tej dzielnicy przez nalot sobotni, Utratę, Kamionek z częścią Grochowa, Saską Kępe. Kreska węglem wyrysowana na mapie jest cienka i niepozorna. Ale jej skutki są doniosłe. To co pozostanie na północ, wschód i południe od tego węglowego zarysu będzie opanowane przez Niemców, a więc stanie się celem naszych polskich armat. Los setek istnień, rodzin, zakładów, domów rozstrzyga się na tej krótkiej odprawie. Gdyby stali przy nas mieszkańcy wyłączonych osiedli błagaliby napewno: »Przesuńcie front jeszcze o jedną ulicę, o dwieście metrów! Ocalicie mnie i moją własność !«

W tej godzinie odprawy trzeba o nich zapomnieć, z myśli powygnaniać wszystko nieistotne, a mieć tylko na względzie zasady taktyki. Front pójdzie linią łamaną, by ułatwić krzyżowanie ogni. Wysunięte kąty przykre zapewne będą do utrzymania, powodując dużo strat. Znamy z własnego doświadczenia dawniejszych wojen uczucie, z jakim dowódca kompanii czy spieszonoego szwadronu prowadzi swój oddział dla objęcia położonej wprzód przed frontem reduty. Trochę mu

swych ludzi żał, bo wie, że wrócą nie wszyscy, a trochę jest dumny, że jemu w udziale przypadło tak ciężkie zadanie.

Linie już zgrubsza wytyczone i teraz pada z ust jednego z dowódców pytanie: »A gdzie kierunki odwrotu ? Jak będą podzielone mosty dla wycofania poszczególnych oddziałów ?«

Dowódca popatrzył ostro: »Kierunków odwrotu nie ma, bo odwrotu nie będzie. Ewakuacja już się skończyła dla nas u bram Warszawy. Zarządzam obronę stałą. Żaden oddział nie śmie się wycofać. Niech na rozkaz opuszczenia pozycji nikt nie czeka, bo go nie dostanie. Zrozumieliście panowie ?!«

Oficerowie stanęli na baczność. Odprawa była skończona.

.....

***) Jak autor dowiedział się niedawno przypuszczenia jego nie były mylne. Dwunastu pilotów z **Lufthansy** zginęło w walkach nad Warszawą.

11 września.

Wczoraj gdy tylko zapadły ciemności powtórzyła się na ulicach Pragi strzelanina, o której opowiadano mi już w sztabie jako o codziennym zjawisku. To dywersanci niemieccy, których pełno jest wśród tutejszej ludności próbują szerzyć popłoch i przyczyniać nam straty. Gdy kapitan D. z konnej artylerii wychodził z dowództwa i zbliżał się do swego samochodu padł nagle strzał, który zabił go na miejscu. Otaczający go oficerowie schwycili mordercę — będzie postawiony przed sąd doraźny. Z okna bocznej ściany kamienicy padają od kilku dni strzały na przechodzących oficerów. Zarządzono już obławę żandarmerii i policji, która położy kres tej podziemnej dywersji. Dowodzi ona jednak, jak świetnie Niemcy tutejsi są zorganizowani i zaopatrzeni w broń.

Po wczorajszej odprawie objeżdżamy dziś poszczególne odcinki. Trzeba w terenie sprawdzić powzięte decyzje, zanim ubierze się je w formę ostatecznego rozkazu dla »0brony Pragi«. Na każdym z nich wyznaczony już wczoraj dowódca towarzyszy nam. Samochód zostanie przy barykadzie, pieszo już idziemy na tory i między poszczególne domy, by omówić podział ognia, zarys przedniego skraju pozycji, a w nim okopy i miejsca dla przeszkód drutowych. Trzeba tu i tam przypaść do ziemi, by patrzeć nie jak dowódca, ale jak wykonawca zadania. Trzeba oczami żołnierza, wkopanego w ziemię, który leżąc tu będzie niezadługo pod ogniem, ocenić co widzi, a co przed jego wzrokiem ukryte, skąd może dostać obstrzał, które dy przewidzieć natarcie nieprzyjaciela w dzień i w nocy, gdzie staną jego obserwatorzy, dokąd skieruje on swoje wysunięte elementy czuwania i większe placówki. Rozgrywać trzeba partie

szachów obustronnie, dziś jeszcze na zimno, pod osłoną daleko wysuniętych oddziałów czat, bez boju, co najwyżej pod ostrzałem właśnie nadlatującego lotnika rozpoznawczego, ale wciąż z myślą o tym, że nie wygodnym samochodem podjeżdżać się tu będzie od jutra, czy od pojutrze. Czołganiem po ziemi na lokciach będą tędy dążyć żołnierze donoszący amunicję i żywność walczącym, póki rowy dobiegowe idące zygzakiem nie ułatwią im tego zadania.

Kilku dowódców rozpoczęło już ziemne roboty. Niektóre celowe, inne zdradzające całą nieznaną wojny młodego oficera rezerwy. Oto podchorąży, od wczoraj dowódca armatki przeciwczołgowej, dumny ze swego zadania, umieścił ją na torze, a dla zamaskowania od wglądu lotnika, obsadził ją dookoła laskiem brzołek wyciętych na cmentarzu Pragi. Kochany nasz chłopaku! Czy Tobie się zdaje, że lotnik sunący nad wstęgą toru zobaczywszy na szynach kolejowych wyrosły laszek brzozy nie odgadnie Twego naiwnego podstępu? Zawróci on zaraz półkolem, przyszykuje bombę i ciśnie ją właśnie na Twoją pracownicę osłoniętą armatkę., albo maszynówką spikuje wprost na ciebie z góry ! Ale jakże tu się dziwić ? Przecie mamy dopiero dziesięć dni wojny za sobą, a podchorąży o naszych dawnych krwią opłaconych doświadczeniach bojowych z przed dwudziestu laty wiedział tylko z książek. Tydzień walk szybko i lepiej każdego z nich doszkoli, niż całoroczna służba przebyta w pokoju.

I tak idąc od punktu do punktu omawiać przychodzi najdrobniejsze szczegóły. Zastajemy kompanię rezerwy leżącą na wale kolejowym świecącym się jeszcze od zimnej rosy wrześniowej.

»Co tu porabia kompania ?« pyta pułkownik — »Leży w pogotowiu ogniowym od wczorajszego wieczora, gdyż na przedzie słyhać było mocną strzelaninę i zarządzone zostało ostre pogotowie« melduje posłusznie młody dowódca, w życiu cywilnym obiecujący urzędnik skarbowy.

»Bój się Boga panie poruczniku ! Trzymać ludzi całą noc na zimnie, gdy setki domów dokoła ?! Przecie wyskoczyć na wał z tamtej kamienicy — zajmie wam dwie minuty ! Rozgrzać ludzi, dać kawy gorącej, iść spać, bo mogą być naprawdę potrzebni!

Daje się odczuwać zbyt duże znaczenie przypisywane niemieckim czołgom, a zbyt małe artylerii. To zrozumiałe u oficera i szeregowca, który w otwartym polu od dziesięciu dni był ciągle okrażany przez objazdy zmotoryzowanych jednostek. Trzeba mu teraz wytłumaczyć, że czołg na barykady w ciasnych ulicach nie pójdzie, ale że czeka go huraganowy ogień z ziemi i z powietrza. Trzeba go przy tym odrutować przed natarciem piechoty niemieckiej choć, jak to stwierdziliśmy już pod Kaliszem i Krotoszynem w walkach osłonowych, kiepsko wyszkolonej. Zrobią to nasi saperzy. Już dziś przekuwają oni w ścianach domów strzelnice dla karabinów maszynowych. Miło

jest patrzeć jak z Warszawy robi się powoli Saragossa. Nasi dziadowie pod Napoleonem z nadwiślańskich pułków piechoty odczuli na sobie, co znaczy zacięty upór dużego miasta; musimy ich doświadczenia użyć teraz przeciw Niemcom.

W czasie objazdu odcinka nadleciały dwa niemieckie płatowce. Bateria przeciwlotnicza stojąca w pobliżu nas otworzyła ogień i po chwili jeden z bombowców dymem się zaznaczył, a potem runął już w płomieniach na ziemię. Trzeba było widzieć radość naszych chłopców! Ale go dostali! Nie będzie nam już domów rozwalal! Sukinsyn!

Referat aprowizacji miasta miałby z tym lotnikiem specjalne porachunki. Jak się dowiedziałem po powrocie do sztabu, bomby dziś rzucone zatopiły nam dwie barki pełne ryżu stojące w porcie wiślanym. Byłoby czym przekarmić przez tydzień cały pułk piechoty. A z żywnością krucho. Mówił mi wczoraj rtm. St., że zapasy żywności dla miasta obliczają w Ratuszu na 14 dni, straty od ognia nie są w rachunku uwzględnione. To słuszne, że porcja żołnierska i przydział dla ludności cywilnej zostały od razu zrównane. Starczy chleba dla jednych, wystarczy dla drugich. Jeśli zabraknie, to równocześnie dla wszystkich. Ale przecie do tego nie dojdzie. Dwie nasze armie biją się jeszcze na przedpolu Warszawy, dywizje rezerwowe tworzą się na całym terenie wschodnim aż do granicy sowieckiej. Mówią coś o planach angielskich opanowania Bałtyku. Odsiecz przyjąć musi. A jeśli nawet nie przyjdzie, to przykład Warszawy zachęci inne miasta do uporczywej obrony i utrudni Niemcom kampanię.

Dziś opowiadano mi w sztabie dziwną historię. Już w. dniu 8 września patrol niemiecki zajęły lotnisko na Okęciu wraz ze zbudowanym przy nim osiedlem mieszkaniowym. Formacje wojskowe, rodziny oficerów i podoficerów opuściły koszary i bloki mieszkaniowe, by przenieść się w głąb Warszawy. Jak się okazało, nie wszyscy to uczynili. Bo niebawem w centrali wojskowej zadźwięczał z Okęcia telefon. Odezwał się głos kobiecy. Oto jedna z żon oficerskich zgłosiła gotowość pozostania na lotnisku i podała od razu szczegóły o ilości nadjeżdżających czołgów niemieckich.

Oddział nieprzyjacielski widząc opuszczone budynki nie zadał sobie trudu przejrzenia wszystkich mieszkań i przez kilka dalszych dni, co rano i wieczór odzywał się telefon w sztabie i głos kobiecy podawał nowe spostrzeżenia, czynione z okna wysokiego piętra o ruchach wojsk na tyłach niemieckiego frontu.

Pewnego dnia telefonu z Okęcia zabrakło. Może bomba lotnicza tworząc lej uszkodziła dom, może granat przelatujący na miasto z dalekich stanowisk artylerii rozbił górne piętro budynku, może skończyły się zapasy żywności i trzeba było dom opuścić bez możliwości powrotu, a może kontrola mieszkania wykazała, że nie było puste i głos żony oficera zamilkł już na zawsze... Historia wojny to kiedyś wyjaśni. Niech na razie ta bezimienna postać bohaterskiej Polki zajmie należne jej miejsce w pamięci narodu.

12 września.

Nocny atak niemiecki sprawił nam cokolwiek niepokoju. Trafił na odcinek jeszcze źle umocniony, obsadzony przez batalion marszowy jednego z pułków, w którym ani oficerowie nie zdążyli poznać jeszcze swych żołnierzy, ani ci ostatni nie mieli możliwości nabrać zaufania do dowódców. To też gdy na tym froncie właśnie rozpoczęła się około północy haratanina ogniowa nie byliśmy w sztabie pewni, czy odcinek wytrzyma.

Meldunki telefoniczne brzmiały nerwowo, że atakują duże siły wsparte mocno artylerią, że brak jest rakiet, że batalion prosi o wsparcie odwodami. Zdążyło się tylko przyobiecać dowódcy pomoc kilku baterii, gdy druty telefoniczne zostały przerwane i meldunki przestały dochodzić. Wysłani oficerowie łącznikowi jakoś nie wracali.

A tymczasem bulgotanie ogniowe było coraz silniejsze, chwilami, gdy wiatr powiał, zdawało się, że ogień przybliży się do centrum Pragi. Odgłos strzałów w mieście budzi w ulicach tysięczne echo, podobnie jak w górach lub w lasach, to też gwar bitwy nocnej robi znacznie większe wrażenie niż w szczerym polu. Z bocznej ulicy wypadł galopem jeden, drugi wóz taborowy, kierując się przez mosty za Wisłę. I znów tętent po bruku może łatwo spowodować panikę. To też z bram domów wychylały się już postacie mieszkańców gotowych, pomimo zakazu chodzenia po mieście w nocy, do ucieczki z Pragi. I my w sztabie ubraliśmy się w płaszcze, maski przewiesili przez ramię, by być gotowym na każdą ewentualność. Fantazja już pracowała. Nasza piechota cofnie się, Niemcy podążą wprost za nią, może puszczą w ulicę swoje czołgi, a przynajmniej samochody pancerne. Przejazd tych 3—4 kilometrów od frontu długo nie potrwa. Odwodów na razie nie mamy poza różnymi kompaniami sztabowymi, taborami, kolumnami amunicyjnymi, które nie tworzą właśnie żadnej siły, tym bardziej w nocnej walce ulicznej. Trzeba więc być przygotowanym na to, że będziemy wciągnięci bezpośrednio w walkę. Skoro ani o wycofaniu, ani o przebijaniu się mowy nie ma, więc trzeba opatrzyć sobie pistolet, upewnić się czy zapasowe magazynki są pełne i spokojnie czekać dalszego przebiegu walki.

Okazało się, że nasze baterie wkrótce ją rozstrzygnęły. Dobrze zorganizowany i ześrodkowany ogień kilku baterii sprawił Niemcom takie lanie, że przerwali natarcie i z ogromnymi stratami wycofali się na poprzednie pozycje. Rano setki trupów na przedpolu znaczyły drogę ich nieudanego wysiłku.

Odparcie ataku ma doniosłe znaczenie moralne dla młodego żołnierza. Poczul swą wyższość nad przeciwnikiem, widział naocznie poniesione przez niego krwawe straty, stwierdził słabą wytrzymałość na ogień piechoty niemieckiej i brak zaciętości w

posuwaniu się jej naprzód. Jeszcze kilka takich prób ogniowych, a o moralny stan oddziałów możemy być spokojni.

Sprawa naszego wyżywienia załatwiona pomyślnie. Oto dwie panienki z sąsiednich domów dowiedziały się przez niedyskrecję żołnierzy gońców, że sztab głoduje z braku kuchni i zgłosiły chęć urządzenia kasyna dla naszych oficerów. Panna Władzia jest blondynką, panna Janka brunetką. Studiowały na uniwersytecie, a że wykładów pewno nie będzie tak prędko, więc czasu wolnego dość mają na gotowanie. Byle było co włożyć do garnków. Postara się o to i pan kapitan i starszy szeregowiec, sam rodem z Pragi: on wie, gdzie »fasują« żołnierze, do której komisji gospodarczej najlepiej się przydzielić. I od dziś mamy już obiady. Zupa ryżowa, potem ryż ze śliwkami, mięsa nie ma, za to fabryka Wedla rozdaje czekoladę. Słuszna decyzja dyrektora, że wobec groźby pożaru lepiej porozdawać cukierki wojsku, a nie czekać na ich spalenie. Niech mu Bóg za to da zdrowie.

Przyniesiono dziś do sztabu papiery znalezione przy poległym w nocnym ataku niemieckim oficerze: »Moja Ukochana! Nie masz pojęcia jak okrutną jest wojna. Dobrze, że Twoje oczy niepatrzają na to, co się tu dzieje. Spośród naszych przyjaciół brak już wielu. Może uda mi się powrócić do Ciebie...«. Dzielny przeciwnik, który i na wojnie zachował ludzkie uczucia, godzien jest szacunku.

Zajechałem dziś do Komendy Miasta, by dopominać się o przydział większej ilości chirurgów do naszych szpitali. U wejścia spotkałem p. L. prowadzoną pod rękę z obwiązanymi oczami. »Co się stało?! — »0parzenie powierzchowne — nic groźnego, ale niech mnie pan pułkownik doprowadzi do szefa sanitarnego, organizuję dwa nowe szpitale"



13 - 17 września 1939

13 września.

Jadąc na kwaterę majora A. z 40 pułku "dzieci lwowskich" zaszedłem dziś rano do kościoła św. Floriana, który mieści się na przeciwko tej kwatery. Właśnie odbywała się msza święta w małej bocznej kaplicy. Sąsiedztwo mostu sprawia, że kościół jest wciąż pod ogniem. Już ma kilka dziur w nawie głównej. Miejsce raczej mało nadające się do spokojnych rozmyślań pobożnych. A jednak ludzi na mszy nie brak. Przychodzą babiny w chustkach i żołnierze z hełmami stalowymi w rękach. Młody ksiądz odprawiający nabożeństwo w wojsku nie służy, lecz i on trwa na swej placówce, nie schronił się w bezpieczniejsze miejsce. Kilka granatów przeleciało w czasie mszy nad kościołem i wyrwało kilka dziur w domach sąsiednich. Może potrzebne były do podniesienia modlitw o jeden krąg bliższy nieba. Możliwość stanięcia przed sędzią już nie tylko czynów, lecz i sumień ludzkich, i to w każdej chwili, tak się na wojnie zwiększa, że warto porachować się ze sobą. A Bóg dla żołnierza nie jest Sędzią groźnym, lecz bodaj bardziej miłosiernym, niż w życiu cywilnym, a równocześnie obrońcą strapionych.

Po powrocie do sztabu panna Janka, nasz szef kasyna, czyni ostre wymówki. Pocisk jakoby rozbił rurę dopływową wzdłuż mostu Kierbedzia z Warszawy na Pragę i stąd wody w kuchni nie ma. Jak można było do tego dopuszczać! Jakże teraz obiad ugotuje?!

Pod wpływem tych zarzutów telefonuję do Dyrekcji Wodociągów. I tam p. dyrektor Downarowicz jest srodze zmartwiony. Wysłał już ekipę inżynierów i robotników. Nie zważając na ogień artylerii, zamieniają rozbite części przewodów. Jeśli ich granat nie zmiecie, Praga już jutro będzie miała wodę. Nasi robotnicy nie pierwszy raz są godni pochwały. Bataliony pracy, sformowane przez prezydenta miasta Starzyńskiego, zajęte są stale wraz z naszymi saperami po nocach na przedpolach pozycji, zaciągając druty kolczaste,

zakładając pola minowe, kopiąc pułapki dla czołgów. I co noc ponoszą straty.

Inne znów bataliony porządkują Warszawę. Kto mógł przewidzieć, że taka ilość szkła leżeć będzie na chodnikach miasta po kilku nalotach i bombardowaniach. Rozdeptane kawałki szyb utworzyły warstwę jakby białego piasku, czy śniegu. Inżynierowie obliczają, że dla wstawienia szkła w oknach i witrynach sklepów — potrzeba będzie czterech lat pracy wszystkich polskich hut szklanych. Otóż to szkło rozbite uprzątnęły bataliony pracy, wraz z gruzami, trupami koni, rozbitymi wozami i samochodami, każdy zaś nowo powstały lej na jezdniach bywa ogrodzony, a Warszawa co noc porządkuje się, jak szwoleżer przed bitwą. Rano wyczyszczona, schludna, oczekuje nowych wydarzeń bojowych. Jest w tym myśl głębsza. Każdy mieszkaniec stolicy ceni sobie taką elegancję i jest za nią wdzięczny swemu prezydentowi. U nas na Pradze komendant placu pułkownik N. wraz z delegatem magistratu robią to samo, tylko gruzów wywozić nie można. Jest ich już za dużo.

14 września.

Od kilku dni dowództwo obrony Warszawy objął generał Rómmel, który dziś wraz z generałem Czumą objeżdżał przednie pozycje. Żołnierz zawsze z radością wita wyższych dowódców w pierwszych liniach. Dla kawalerzysty, jakim jest nasz obecny dowódca całości, nie pierwsze linie, lecz raczej przedpole armii było zwykłym terenem działania. Zamknięty w obozie warownym, jakim stała się Warszawa, nie będzie czuł się dobrze, ale wiadomo, że posterunku wyznaczonego nie opuści.

Załoga nasza wzmocniła się przybyciem części dywizji, które walczyły pod Mławą i Ciechanowem.

Z opowiadań kapitana A. R. kwatermistrza saperów wynika, że jako jednostki osłonowe wytrzymały te dywizje na sobie pierwsze uderzenie z Prus Wschodnich, odparły silne frontowe ataki w rozbudowanych i obetonowanych pozycjach, lecz oskrzydłone przez zmotoryzowany korpus niemiecki musiały się wycofać, przy czym poniosły duże straty od nalotów bombowych w nieopatrznych marszach dziennych. Niemcy zastosowali przy tym ciekawe współdziałanie trójek lotniczych. Środkowy płatowiec rzucał na maszerującą kolumnę bomby, a dwa skrzydłowe ostrzeliwały z karabinów maszynowych każdy kulomiot lub armatkę przeciwlotniczą, której obsługa otwierała przeciw nim ogień. Dzięki przy marszowi tych wojsk nasz przyczółek mostowy na Pradze rozszerzył się od północy znacznie, co ochroni tę część miasta od bezpośredniego ognia artylerii. Dowództwo naszej grupy objął generał Z.

Na zachód od Warszawy toczą wielką bitwę armie generała

Kutrzeby i Bortnowskiego. Daleki odgłos armat dochodzi aż do stolicy. Brak własnego lotnictwa zniszczonego pięciokrotną przewagą w pierwszych dniach wojny utrudnia utrzymanie z nimi łączności. Wypadki załogi warszawskiej mogłyby pośrednio ułatwiać im akcje. Szkoda, że ich robimy tak mało.

Woda znów przyszła do kranów, co ułatwi rolę gospodyń naszym Madelonkom. Odwiedziłem dziś na krótko rodzinę, zawożąc bochenek chleba. Przydał się, bo choć mój 17-letni syn trzy godziny stał w kolejce dla zdobycia pieczywa, wrócił z pustymi rękami: nie starczyło go dla wszystkich. Zapasy, jakie zgromadziła zacna pani Antoniowa G. przed wojną w mieszkaniu swoim, i którymi teraz dzieli się z moją rodziną, dopomogą na jakiś czas dla ochrony przed głodem, ale brak chleba i mięsa daje się odczuwać coraz bardziej.

Jedyną osobą cieszącą się w tym domu z wojny jest nasz pięcioletni synek. Uważa on, że wybuchy granatów są bardzo ciekawe, szybkie zbieganie do schronów po schodach w chwili alarmu stanowi miłą rozrywkę wobec ciągłego trzymania go w czterech ścianach, pożary wieczorami bardzo ładnie wyglądają, a przemarsze wojska w stalowych hełmach pod oknami dadzą pomysły do nowych zabaw. Nie gasimy z żoną jego entuzjasmów. Wszak liczyliśmy na to, że to pokolenie będzie miało chyba lepsze życie nie tylko od naszego, lecz i od starszego rodzeństwa. Zanim on dorośnie, dłuższy okres pokojowej pracy musi stworzyć łatwiejsze warunki do startu życiowego. Dziś przed nami wielka zagadka i ciemne chmury. Jeśli nawet nie ogarną dziecka, to życia mu nie ułatwią. Niechże więc się cieszy pożarami miast, niech płatowce niemieckie bawią go, jak duże białe zabawki zawieszane u sufitu nieba i niech zbieganie do schronów zastąpi mu pogoń z siatką za motylem. Niech się uchroni przed zdumieniem, które w dzień i w nocy nas gnębi, czemu tyle zła, cierpienia i śmierci rozhułało się w Polsce. Niechże mu w sercu jeszcze nie wzbiera nienawiść, której my go nauczyć i tak nie potrafimy, ale nauczyć by go mogło zrozumienie wojny.

Zanim wróciłem na Pragę powiadomiono mnie, że dwa dalsze szpitale wypełnione rannymi t. j. św. Ducha i Dzieciątka Jezus uległy wczoraj pożarom od bomb Zapalających rzuconych w czasie krótkotrwałego bombardowania. W jednym z nich leżał mój brat stryjeczny Kazimierz O. przestrzelony przez płuca i nogi. Gdzie go teraz można będzie odszukać i czy się go odszuka?

15 września.

Co rano o 6 budzi nas alarm gazeciarzy dochodzący do mieszkania przez rozbite okna: »Kurier Poranny! Ostatnie wiadomości! Kurier Poranny!« Skromne te gazetki z jednej

kartki niewielkiego formatu, ale mimo to chwyta je oficer i szeregowiec, każda kucharka i szofer. Wszak mamy wszyscy uczucie odcięcia od świata, więc też każda wieść z zewnątrz jest skwapliwie czytana. W gazecie komunikat dowództwa obrony Warszawy, tekst przemówienia lub odezwa prezydenta Starzyńskiego, od czasu do czasu wiadomości, gdzie jeszcze toczą się walki, lakoniczne komunikaty z frontu zachodniego i wiadomości, że Francja i Anglia przygotowują się już do wojny. Poza tym kilka klepsydr żałobnych, kilka ogłoszeń poszukujących rodzin.

Zakupioną gazetę odczytuje się raz i drugi, po chwili dopiero przychodzi zrozumienie, że uparcie szuka się wieści, które by podniosły na duchu, a szuka się ich na próżno. Dziwnie samotni czujemy się wśród tego świata, który ze współczuciem obserwuje przebieg wojny w Polsce i czeka, co z tego wyniknie. Przychodzą pięknie wystylizowane depeche radiowe pod adresem prezydenta Warszawy, wyrażając podziw dla rozpoczętej obrony i zachęcając do wytrwania. Odpowiada na nie uprzejmie major Starzyński, ale żołnierz wie, że może liczyć tylko na siebie. Wobec rozbicia lub zajęcia radiostacji w Poznaniu, Toruniu, Krakowie, Łodzi i Wilnie a przecięciu wszystkich kabli i drutów nie wiemy nic, co się dzieje w kraju. Może lepiej, że z zajętych obszarów nie dochodzą nas wieści!

Stacja radiowa Warszawa II jeszcze pracuje, choć Raszyn już dawno uległ zniszczeniu. Z trudem skompletowano personel po mobilizacji, ten dwoi się i troi by obsadzić rozgłośnie, nie zaniedbać podsłuchów, utrzymać w biegu cały mechanizm, usunąć uszkodzenia. A całą pracę prowadzi pod ostrzałem, bo rozbicie rozgłośni i urządzeń radia będzie dla Niemców gratką nie lada. Ta rozsyłająca w świat polskie fale Warszawa jest aż nazbyt niepożądana. Jadąc wczoraj samochodem przez miasto w czasie nalotu dojrzałem na pustej ulicy śpieszącą p. Idę L. której koncerty podawały często rozgłośnie krajowe i zagraniczne. »Proszę Pani ! nalot! niechże Pani się chroni« — wołam z samochodu. »Mam dyżur i koncert w radio« — odpowiada rezolutnie — »Muszę dojść o czasie, proszę mnie więc podwieźć«. Uczyniłem to z radością, ale i w strachu by lotnik serią strzałów nie przeszkodził jednej więcej polskiej wojennej audycji.

Interweniowałem potem w sztabie w sprawie rasowych koni: Oto rano przejeżdżając koło rzeźni na Pradze, mieszczącej się blisko naszej kwatery stwierdziłem, że wśród 700 koni bitych tam codziennie wobec zupełnego braku bydła rzeźnego — ginie wiele cennego materiału hodowlanego. Przeprowadzono do wielkiej hali w mojej obecności śliczną klacz arabską z lekką raną w szyi. Szła pięknym posuwistym stępem, strzygąc pilnie uszami, rzucając spojrzenie z wypukłych oczów pełnych życia, tak znamienne dla gorącej krwi u koni, zadzierała od czasu do czasu swą główkę i cichym rżeniem dawała znak tęsknoty za opuszczonym widać niedawno jakimś towarzyszem ze stajni czy z 'szeregu. Sądziłem w pierwszej chwili, że prowadzą ją gdzieś

do opatrunku. Po chwili do klaczy podszedł jeden z robotników rzeźni, przyłożył do czoła automatyczny pistolet, sprężyna opadła, a klacz trafiona w mózg zwała się jak piorunem rażona na ziemię i po kilku chwilach już leżała bez życia.

Stało to się tak prędko, że nie zdążyłem doskoczyć na jej ratunek. Z pasją rzuciłem się na zawracającego już ulana: »Z czyjego rozkazu klacz tu była przysłana ?« — »Wszystkie ranne konie przyprowadzamy tu co rano« zameldował posłusznie żołnierz.

Trzeba tu coś zrobić ! Przecie ta klacz pochodziła napewno z jakiejś starej hodowli arabskiej, może miała w sobie z takim trudem odratowaną w czasie wojny światowej krew sławnych sanguszkowskich ogierów, których ród w Anglii i Ameryce stanowi do dziś dnia podstawę hodowli arabów, może była rodem z jednego z tych stad, którego właściciel przepędzał co wiosnę tabun roczniaków przez wezbrany Boh na Ukrainie. Który koń utonął w przeprawie, ten widać był słaby i nie umiał wykazać dosyć zaciętości w walce o swe życie, ale który z nich przepłynął szczęśliwie na drugi brzeg, ten miał już zdrowe płuca, serce i wypróbowaną dzielność. I taki szedł do stada na dalszy wychów. Z takiego może rodu pochodzącą klacz prowadzą teraz na rzeź!

Przecie to wysiłek kilku pokoleń hodowców idzie na marne!

W sztabie wysłuchują raportu, ale jest on daremny. Ambulansu weterynaryjnego nie ma dla leczenia rannych koni. Wojskowy szpital koński zawałił się przed kilku dniami od bomb. Można by klacz wyleczyć w pulku, zapewne, ale czym ją wykarmić. Wielkie magazyny siana poszły na Targówku z dymem. Magazynowca też spalony. A zresztą... już koni tak wiele nie ma w stolicy. Powoli codziennie ich liczba maleje... czyż » nie lepiej, by ranne szły pierwsze na zaturę.

Wesoła wojna niemiecka! Jak ona burzy nasz polski dorobek w każdej poszczególnej dziedzinie! Trzeba będzie to wszystko mocno zapamiętać, by w chwili ostatecznego porachunku przedstawić do wyrównania. Ale cóż to pomoże! Czyż szlachetną klacz ożywi kilka tysięcy dodanych wojennych odszkodowań ? Dobrze, że dzisiaj u nas tyle było roboty, że czasu na dalsze myślenie zabrakło. Ostrzeliwanie Pragi staje się zresztą co dzień bardziej gwałtowne. Z kierunku dotąd spokojnego zaczynają lecieć z charkotem wielkie pociski. Domy dotąd ukryte zdawało się od ognia, bo zasłonięte wyższymi kamienicami od linii obstrzału, dziś nagle otrzymują ranę w ścianie z nowego kierunku. Poprostu coraz to nowa bateria niemiecka zajeżdża na pozycje i wstrzeliwuje się w miasto. Na razie to jeszcze strzały pojedyncze, ale przyjdą zapewne niebawem huraganowe koncentracje ognia znane nam z frontów wojny światowej.

Dziś mieliśmy miłą wizytę na naszej kwaterze. Tuż przed obiadem zjawiała się jakaś ładna pani i wylegitymowała się... jako

właścicielka mieszkania. Chwila zażenowania. Kto kogo właściwie gości, czy my intruzi mamy jej robić honory domu, czy w jej własnym apartamencie ona nas przyjmuje ?

Jakaś dzielna osoba. Przyjście na Pragę uznawane jest w Warszawie za wyczyn bojowy, coś w rodzaju patrolu. Przejazd przez most samochodem już sprawia pewne wrażenie, bo choć trwa krótko, daje chwilę oczekiwania, czy też granat trafi w nas, czy w Wisłę. Przejście piechotą trwa znacznie dłużej, a choć ludzie śpieszą biegiem, niejeden z nich już został na jezdni. Nasz gość, czy też nasza pani domu wybrała się na taki patrol, by sprawdzić czy dom jeszcze stoi, czy akta kancelarii adwokackiej męża nie uległy zniszczeniu i czy futra w szafach pozostały na miejscu, bo dni zaczynają być chłodne. Orowadzamy się wzajemnie po pokojach i sprawdzamy co jest, a czego brakuje. Na szczęście strat jeszcze niewiele. Pani mecenasowa opowiada nam swoje wędrówki uchodźcze, gdy wezwana do opuszczenia miasta dla odciążenia aprowizacji schroniła się z mężem do jednego z podmiejskich lotnisk, jak tam odszukały ich naloty niemieckie, więc przyszło wracać do miasta, ale wobec kłębu dymu nad Pragą przezorniej było szukać schronienia u znajomych w Warszawie. Wśród wojny tego rodzaju co nasza, odległość kilkunastu ulic tworzy wielką dal, którą przebyć nie zawsze bezpiecznie.

Pani chce prędko wracać. Ale my zatrzymujemy ją na obiad wydany na jej własnych, zarekwirowanych do chwilowego użytku talerzach. Na stole ukazują się słoiki konfitur, których nie śmieliśmy dotąd poddać prawu o świadczeniach wojennych. Obiad przechodzi w wesołym nastroju. Przecie lada dzień ruszą do przeciwnatarcia nasze dywizje ze' wschodu, mówią coś, że lotniskowiec angielski użyty jako baza posłuży do pomocniczych nalotów na niemieckie pozycje, które z kolei odczują na sobie miłe skutki żelaznego deszczu, na froncie nasz żołnierz już wrósł w teren i coraz bardziej się w nim umacnia. Wszystko więc dobrze się zapowiada. Nasze biedy niedługo się skończą, gnębiona Warszawa odetchnie.

Korzystając z wyjazdu saperów odsyłamy naszą panią domu samochodem na ulicę Wielką.

Na sam czas wyjechała. Bo ledwo zdążyliśmy zasiąść do redagowania rozkazów, gdy oczekiwana nawała skierowała się właśnie na naszą ulicę. Cały dywizjon armat wziął nas widocznie na cel, bo serie po, 12 ciężkich granatów zaczęły bić wokoło naszego domu. Z początku jeszcze maszyna pracowała i rozkaz się pisał, ale gdy ściana przeciwległego domu zyskała wielką wyrwę, powstała burza w mieszkaniu. Panna Janka i panna Władzia wbiegły do kancelarii z zapowiedzią, że już ostatni raz gotowały nam obiad, bo nie na to narażają się, byśmy mogli urządzać przyjęcia dla dam, że one wymagają teraz obrony i że w ogóle nie ma sensu dłużej tu przebywać. Po tej tyradzie wróciły do kuchni i pobekując trochę ze strachu zabrały się do gotowania ryżu na wieczorne danie.

A granaty waliły dalej. Jeden w końcu trzasnął w nasz dach, że dom przysiadł do ziemi i zakolysał się na dwie strony. Ale pocziwie się jakoś opamiętał i nie rozwalił. Uznaliśmy za stosowne przerwać pisanie rozkazu i zebrać się w przedpokoju umieszczonym w środku mieszkania. Okazało się to celowe, bo po chwili jeszcze jeden piorun, grzmot i dym siarkowy zmieszany z kurzem wypełnił pokój. Okazało się, że II piętro nad nami ma wyrwę. Całe szczęście, że strzelają granatami, które przy pierwszym zderzeniu z murem już pękają, nie przenikając w głąb zabudowań. Na udanym ostrzale zakończyła się na dziś strzelanina popołudniowa. Niemcy widać poszli na kawę, a my mogliśmy niebawem zasiąść do ryżu tak dzielnie zgotowanego wśród lez panny Władzi. Ktoś w czasie kolacji poruszył sprawę wyszukania jakiegoś schronu. Wszyscy byli tego samego zdania, ale na tej uchwale na razie się skończyło. Opuszczać naszych Madelonek nie wypadalo, a skoro one gotują nam obiad na I piętrze domu, to i sztab może tam jeszcze przez kilka dni urzędować.

16 września.

Dostałem dziś rozkaz omówienia z dowódcą jednego z pułków, ppułk. K., pewnej sprawy i to w szybkim tempie. Jadę do jego kwatery w porcie wiślanym, lecz tam adiutant objaśnia mnie, że pułkownik wyjechał na odcinek, skąd właśnie wyjść ma dzisiaj lokalne natarcie, celem rozszerzenia pozycji obronnych. Jadę więc do dzielnicy willowej na Saską Kępę, gdzie mieści się kancelaria batalionu. Dowódca pułku był tam przez chwilę, ale poszedł do przedniej barykady na ul. Zwycięzców, skąd o świcie wyruszyło natarcie. Podjeżdżam w tamtą stronę samochodem. Na barykadzie już go nie zastałem, bo niedawno poszedł za czołową kompanią, prowadzącą natarcie w kierunku na wał wiślany.

Chwila namysłu czy za nim podążać. Jak zwykle w tych razach decyduje rozkaz, a ten brzmi, że sprawa jest pilna i wymaga natychmiastowego uzgodnienia. A więc trzeba się z również towarzyszącym podporucznikiem posunąć naprzód w świeżo zdobyty teren przed barykadami.

A teren to niezwykły. Wszak przed dwudziestu jeszcze laty Saska Kępa przedstawiała łąkę wiślaną jedną z wielu zarosła sitowiem i wikliną, zalewaną przy każdym choćby niewielkim podniesieniu się poziomu wody w *rzece*.

Jedna i druga karczma stojąca na wyższych skrawkach terenu cieszyły się wyrobioną sławą wśród Antków warszawskich i były uwiecznione w piosenkach brukowych, jako miejsce zabaw ludowych (»Antek z Mańką...«). Trafiały się tam i spelunki gromadzące różne szumowiny wielkomiejskie. A dawno, bardzo dawno, bo w czasie bitwy grochowskiej roku 1831 błota

tamtejsze stanowiły zabezpieczenie prawego skrzydła wojska polskiego broniącego Warszawy.

Obwałowanie brzegu Wisły utworzyło z tych nieużytków nowe tereny budowlane. Powstawało nowe osiedle jako miasto-ogród. I ludzie zamożni wznosili sobie wille i ludzie mniej bogaci składali przez długie lata grosz do grosza, by móc wreszcie postawić sobie, choć niewielki ale własny domek. Każda z willi nosiła na sobie piętno starań właścicieli: werenda pełna kwiatów, wodotrysk w ogrodzie, sad karłowatych jabłoni, wirydarzyk pełen róż, czy zbiór wartościowych obrazów, mebli, dywanów dla upiększenia wnętrza — oto rezultat wieloletnich starań a często i wynik wieloletnich ofiar dla stworzenia sobie pięknego środowiska życia rodzinnego.

Willowa dzielnica, z której tak dumna była Warszawa, stała się teraz terenem brutalnej walki. Pięknie nazwane aleje Obrońców, Walecznych, Zwycięzców, nosiły na sobie ślady dzikiego zniszczenia. Oto biała we włoskim stylu zbudowana willa ma jedną ścianę urwaną. Jakby w przekroju teatralnym widać urządzenia wnętrza. U sufitu pięknie wymodelowany złoty świecznik, na ścianie wiszą jeszcze portret Mehoftera i krajobraz Wyczółkowskiego, podziurawione odłamkami bomby. W ogrodzie rzeźba kobieca ma oderwaną głowę, ale w słońcu błyszczy jeszcze białością marmuru.

Przez ogrodzenie o stylizowanych sztachetach, rozbite w czasie przetaczania tamtędy armaty przechodzę do sąsiedniego ogrodu. Dom na pozór cały, ale od wstrząsu jaki doznał przy jakimś wybuchu, przez całą wysokość bladożółtej ściany frontowej ciągnie się, jakby rana cięta, długa biała szczelina. Czyż można będzie mieszkać w tak uszkodzonym pałacyku? Czyż nie będą musieli przyjść tu kiedyś saperzy, by po ostrożnym wyniesieniu mebli dom zagrożony zawaleniem się rozsądzić dla zrobienia miejsca dla nowej budowli?

Gdy ginie od obstrzału zwykła kamienica czynszowa, już żal i ludzi w niej mieszkających i prostych robotniczych mebli, które może z dużym wysiłkiem kupowała sobie kiedyś na spłaty jakaś młoda para po ślubie. Ale kamienice takie łatwo odbudować. Gdy przepadają na Saskiej Kępie, na Żoliborzu, na kolonii Staszica, lub spółdzielni oficerskiej na Grochowie, budowle mniejsze, ale będące wykwitem architektonicznego pomysłu, a zarazem dorobku kulturalnego dwudziestu lat powojennych, to znów budzi się ten ciągły, na każdym kroku podniesiony gniew przeciw sprawcom tej wojny.

Przy jednej z willi napotykam podchorążego siedzącego na schodach zasypanych gruzami.

»Pan ranny«? — »Nie ranny, ale bardzo zmęczony — melduje się półcywilnie i półwojskowo. — Atakowaliśmy rano, gdzieś mój oddział zagubiłem, więc teraz odpoczywam!«

»Pójdzie pan ze mną !« Podchorąży się zdziwił. »Jako? Teraz? Zaraz ?...« Ale szybko umilkł, wziął karabin i stanął na baczność. Z oczu widać było, że dopiero w tej chwili zrozumiał, że jest dezertorem.

Wystarczy nieraz spojrzeć na ambitnego żołnierza, by spowodować zmianę w jego zachowaniu.

Poszliśmy więc we trójkę. Rozśpiewały się znów nad głową tak pamiętne z tamtej młodej legionowej wojny pojedyncze karabinowe kule, trzeba było, jak za dawnych dobrych czasów wachmistrzowskich, przemykać się chyłkiem od jednej osłony do drugiej, skakać przez płoty rozgraniczające ogrody. Przed nami pas 33 3

otwartego niezabudowanego jeszcze placu, potem znów stoją domy. A więc »Biegiem marsza, jak na stumetrówce. Trochę się człowiek zadyszał i zazdrościł młodym łatwego oddechu.

Pod murem domu na wysokości pierwszej linii strzelającej kompanii stoi nasz szukany, dzielny podpułkownik i przez telefon uzgadnia ogień artylerii.

Tutaj można spokojnie pogawędzić, omówić poleconą sprawę, wykreślić na mapie osiągnięte przez natarcie punkty terenu, by zdać sprawę w Dowództwie Grupy, no i przekazać podchorążego pod odpowiednią opiekę. Zagubiony oddział okazał się kompanią leżącą w linii bojowej. Niedawny łazik poszedł w jej stronę pewnym mocnym krokiem. Ten w kompanii się przyda, bo musi sobie poprawić opinię, a nie myślał, że zastanie tutaj dowódcę swego pułku.

»Dajcie nam tylko większe wsparcie artyleryjskie, a my już damy sobie radę« — powiedział mi na pożegnanie pułkownik K.

Trzeba było wracać przez otwarte pole, oraz płoty, rumowiska i piękne pałacyki wśród więdnących już od przymrozków wrześnieowych kwietników.

W sztabie grupy była jakaś ważna narada, której nie dało się na razie przerwać. Czekanie tu było przykre, bo tam również czekają na wzmocnienie ognia. Ta wieczna we wszystkich wojnach powtarzająca się, często *tak* konieczna, rozbieżność między tempem pracy sztabu' i linii. Tu mózg musi wolniej pracować, by nie rzucić nieprzemyślanych rozkazów, a tam bezpośrednio bitwy, która nie znosi żadnego opóźnienia. Pomimo sprzeciwu adiutanta trzeba było wtargnąć i sprawę zreferować ku radości generała z postępów natarcia.

Sytuacja amunicyjna jednak gorsza, niż myślałem. Oblężenie zaczęliśmy z 12 jednostkami ognia, dziś połowy już nie ma, a o uzupełnieniu trudno marzyć, bo i skąd. Przybyłe dziś części armii generała Kutrzeby i Bortnowskiego w skład warownego

obozu Warszawy doprowadziły ze sobą armaty, ale jeszcze pozostały w Puszczy Kampinoskiej bo były już puste. W zażartych bitwach o Łęczycę i Łowicz wystrzelały i one wszystkie ładunki. Wiadomo, że nasze fabryki amunicji zbombardowano już od pierwszego dnia, zresztą i przewóz wobec unieruchomienia kolei od trzeciego dnia wojny był już niewykonalny. Wszystkie większe stacje miały przecie rozbite tory, popalone parki lokomotyw, potrzaskane mosty, nie mówiąc już o składach amunicji źle usytuowanych w terenie, które zostały zniszczone, lub unieruchomione z tych samych powodów co urządzenia kolejowe. Amunicję trzeba więc szanować, jak złoto, wolno tylko strzelać do celów widocznych i w przyznanych dotacjach. Plk K. niestety poparcia ognia teraz już nie dostanie.

Gdy wracałem na Pragę, od Saskiej Kępy grzmiał donośnie ogień. To Niemcy skoncentrowali kilkanaście baterii na wydarty im dopiero co teren i szli do przeciwuderzenia. Załamię się ono napewno w ogniu naszej broni maszynowej, lecz utrzymać na stałe wału gołławskiego nie będzie nam danym. Trzeba będzie wieczorem wycofać kompanię czołową na dawne pozycje, poza barykady, oddać Niemcom punkty obserwacyjne, z których tak świetnie można obserwować miasto i skąd łatwo kierować ogniem na most ks. Józefa Poniatowskiego. Tak! Samo męstwo żołnierza dzisiaj nie wystarcza.

Pisanie 'trzeba skrócić. Elektrownia miejska doznała dzisiaj mocnego uszkodzenia, prądu nie ma, nawet linotypy w drukarniach stanęły i gazetki wyszły z opóźnieniem. Po szpitalach daje się odczuwać brak świateł, nocne operacje tak często konieczne będzie się robić w półcieniu lub odkładać do świtu.

Właśnie wrócił z za Wisły major D. i przynosi potworne szczegóły z bombardowania Nalewek. Otóż dziś przy sobocie masy żydów ortodoksów zebrały się jak zwykle w synagogach na modlitwy poranne. Czekali tylko na to Niemcy i wnet nadleciały ich eskadry i zaczęły krążyć nad żydowską dzielnicą Nalewek oraz nad przylegającymi ulicami zarzucając bóżnice setkami bomb. Gdy przerażeni chasydzi z nich wypadli, nie zdążywszy rzucić z siebie śmiertelnych białych koszul ani cycelesów, lotnicy karabinami maszynowymi kosili po plecach uciekających, wreszcie zbombardowali w wyjątkowo okrutny sposób całą żydowską dzielnicę.

Można sobie wyobrazić, jak nowocześni rycerze powietrzni dumni byli z dokonanego czynu i na jakie pochwały zasłużyli w dowództwie niemieckim. A w tym czasie z tej bodaj najbiedniejszej dzielnicy Warszawy, tak gęsto zaludnionej przez robotników i chałupników żydowskich, że nieraz w jednym pokoju mieszka po 12 i 14 osób, wynoszono do szpitali całą noc Bogu ducha winne kobiety, dzieci, starców, młodzież ze strasznymi ranami szarpanymi od czerepów bombowych, odgrzebywano przywalonych, ratowano poparzonych od ognia. I znów przypomniało mi się to małe, nikomu nie szkodliwe

miasteczko Piątek między Łęczycą a Łowiczem, które w pierwszych dniach wojny doznało w moich oczach podobnego nalotu. W bestialstwie Niemców nic nie jest przypadkowym, jest ono przemyślane starannie i programowo. Zbliża się dla wyznawców religii mojżeszowej dzień wielkiego święta sądu ostatecznego. A więc trzeba z tego skorzystać, trzeba uprzedzić tę datę i zrobić sąd nad żywymi. I to jest powód okrutnego bombardowania. Bodajby Żydzi całego świata dowiedzieli się o nim i niech je zapiszą na koncie swoich porachunków.

W kronice oblężonej Warszawy zeszedł się przy padkowo opis zniszczonej dzielnicy ludzi zamożnych i dzielnicy największej biedoty. Na razie każdy dzień zapisują sobie Niemcy jako dzień swoich powodzeń wojennych. Ale konto ich »winien« rośnie również i kiedyś zaciąży im bardzo.

Świeca dopala się — trzeba kończyć rzeczywiście pisanie.

17 września.

Dziś przy niedzieli wybrałem się wczesnym rankiem do pobliskiego kościoła św. Floriana. Już z daleka świeci dziwnie gotycką koronką murów. To przedwczorajsza kanonada tak go misternie postrzępiła. Jest cały w ażurach, a pomimo to i wieża i ściany jakoś się trzymają.

Przy wejściu głównym bolesny widok. Oto w nocy jakiś oddział przechodzący tamtędy w drodze powrotnej z pozycji niósł na noszach rannego. Może zmarł on w drodze, więc nie chcąc go nieść dalej, złożono ukosem nosze na schodach wrót głównych kościoła. I tak leżał wśród pustego placu ten żołnierz o poźółklej twarzy z białą opaską na głowie, jakby prosząc się o pochówek kościelny. Kto zapisze jego imię? kto zawiadomi rodzinę?

Drzwi główne zamknięte, widać w zasypanym gruzami kościele ani w jego kaplicach już nie dało się mszy odprawiać i nie ma na co czekać. Ale jakaś starowina powstrzymuje mnie od odejścia. Tam przy parafii są schody do piwnicy — można zejść na dół.

I rzeczywiście wśród klombów kwiatowych odnajduję wąskie schody, potem ciemny korytarz, długi, bardzo długi, gdy się stąpa w ciemności, jeden, drugi zakręt, aż nagle światło dochodzi. Obszerna, sklepiona piwnica, w niej przy świecach ksiądz odprawia mszę św. Tych samych kilka babin i tych samych kilku żołnierzy z hełmami na kolanach.

Przypominają się rzymskie katakumby. Tam w górze słychać już ranne pociski, czasem zadrzą mury od większej jakiejś bomby, tu cichy dźwięk dzwonka i zwykła msza niedzielna. A więc księża zostali, choć i dom parafialny już mocno uszkodzony. Żołnierz leżący na stopniach kościoła doczeka się

chrześcijańskiego pochówku.

Niemcy zastosowali dziś dla różnaitości nowy system strzelania. Nie biją dywizjony, ani baterie, lecz co minutę pada po dwa ciężkie pociski na miasto. Raz na centrum, to znów na boczne ulice, raz w Aleje Jerozolimskie, to znów na Jasną. Z regularnością zegarka, ale z różnych stron wielkiego obwodu naszych pozycji leci pocisk ponad Pragę. Czy padnie blisko, czy daleko nie wiadomo. Ale to jest pewne, że za minutę polecą inny i ten może trafi właśnie w nasz dach nad głową. W języku artylerzystów ogień taki nazywa się nękającym. Stosowali go ongiś Niemcy przy ostrzeliwaniu Świętej Drogi pod Verdun w r. 1916. Powtarzają go teraz przez 20 godzin z rzędu na domy Warszawy. Zaczęli od godzin nocnych. Żołnierz taki ogień wytrzyma, bo i tak wie, że co ma wisieć nie utonie. Ale nerwy kobiet szarpie on silniej, niż ognie dotychczasowe.

Jadę znów przy niedzieli odwiedzić rodzinę. Zastaję żonę i dzieci w schronie piwnicznym wśród lamentujących kobiet, które za każdym bliższym wybuchem wznoszą okrzyk strachu: atmosfera, która najodważniejszego i najspokojniejszego człowieka może wybić z równowagi. Wyprowadzam więc czym prędzej żonę z dziećmi na górę. Mieszkanie parterowe również pewne przy poziomym kierunku strzałów, jak piwnica. A przecie tu na górze piękne słońce, powietrze no i brak lamentów. Chyba jedno z najgorszych wspomnień z tej wojny będą tworzyć zapchane tłumem podziemia, kobiety z dziećmi na rękach przygotowujące strawę, rozbitki, uchodźcy, którzy raz doznawszy ciężkich skutków nalotu za żadne skarby świata nie chcą opuścić swych legowisk wśród wilgotnych i straszliwie dusznych podziemi.

Odwiedził również w tym czasie mą żonę jej brat cioteczny Stanisław M. W stalowym helmie piękny jego profil jeszcze wyszlachetniał. Natura subtelna, artystycznie przewrażliwiona, sam piszący wiersze, bliższy Prousta niż Ksenofonta. Zdawałoby się, że takiego człowieka młyn straszliwy wojny załamie psychicznie. Nic podobnego. Nasz poeta czuje się świetnie. »Tak długo siebie szukałem i wreszcie tu się odnalazłem. Tyle drogich mi wartości, jak rycerska tradycja, męstwo, szczerłość czynów zyskały na cenie. Tyle znienawidzonych przeze mnie walorów współczesnego nam świata, jak zysk, interes, chciwość, zakłamanie, gdzieś się nagle podziały. Przecie ta Warszawa tworzy dziś właśnie normalne społeczeństwo ludzi przychodzących sobie wzajemnie z pomocą, bezwzględnie szczerych, bo dziś już się każda blaga skończyła, zrównanych jednym losem, bez różnic socjalnych, politycznych — trochę zanadto cierpiących. Ale gdyby tego ostatniego momentu nie było — to chętnie wśród takiego świata zostałbym jak najdłużej*.

Tak, gdyby tego morza cierpienia nie było! Nasz poeta o głowie rzymskiego legionisty zabrał swoją porcję chleba troskliwie opakowaną i pomaszerował z głową dumnie wzniesioną pod

nękającym ogniem artylerii przez miasto do koszar swego pułku.

Zakończenie bitwy na zachód od Warszawy, choć tak pięknie rozegranej przez nasze dwie armie, z pamiętnym rajdem kawalerii na tyły dwóch niemieckich dywizji, z walkami wręcz piechoty — zakończenie tej bitwy, odbiera nam jedno złudzenie, że front od zachodu ulegnie odciążeniu. Broni się jeszcze Hel, tak nam dziś koleżeńsko bliski, ale zresztą na zachód od Wisły partia już rozegrana na naszą niekorzyść. Pozostaje jeszcze ogromny obszar wschodni, stamtąd przyjdzie dla nas odsiecz. O pomocy aliantów pisać mogą dzienniki, my, co w sztabach kalkulujemy na zimno, wiemy, że tu ona do nas nie dojdzie. Chyba, że front zachodni ruszy się, że ruszy się lotnictwo!



18 - 22 września 1939

18 września.

Ogień nękający wreszcie ustał. Uf ! Każdy z przyjemnością odetchnął. A Niemcy tak byli pewni jego skutku, że rozgłosili przez radio o wzięciu Warszawy. Major Starzyński musiał ostro protestować zachrypniętym od zmęczenia głosem. Warszawa broni się i ani myśli się poddać. Byłem dzisiaj w Ratuszu. Urzędowanie idzie tam trybem normalnym, choć ściany też wojny zaznały. Żadnych zmian w rozkładzie biur. Żadnego przenoszenia się do schronów. Znać, że aprowizacja miasta stwarza największe trudności. Długie kolejki ludzi czekają na zaświadczenia, by móc chleb dostawać za darmo. Formują się nowe oddziały straży pożarnych z tych plutonów, które przybyły z miast poprzednio ewakuowanych. Bez ich pomocy było by ciężko, bo warszawska straż pożarna uszczuplona mobilizacją i ewakuacją nie podolałaby zadaniu.

Już dziś po południu wzmocnienie straży ogniowej wydało rezultaty. Oto niewielki — Warszawiacy mówili »normalny« — nalot bombowy zagroził olbrzymią stratą dla narodu. Bomba zapaliła skrzydło królewskiego zamku. Trzeba było patrzeć na buchający z dachu pożar, by odczuć naszą wewnętrzną wściekłość na niemieckich lotników.

Przecie od 300 lat ta budowla gromadziła w sobie dzieje Polski, od Zygmunta III Wazy począwszy, aż do dni ostatnich. A jeszcze 400 lat przed Zygmuntem na tym miejscu budował swój zamek Książę Mazowiecki. Piękne sale ozdobione na sufitach przez Króla Stanisława Augusta malowidłami Bacciarellego, rzeźby z marmurów kararyjskich — znane już dziś turystom z całej Europy — zagrożone spaleniem.

Na szczęście pożar trwał niedługo. Wspólnym wysiłkiem straży pożarnej, wojska i ludności cywilnej udało się go ograniczyć do jednego skrzydła. Ale rana zadana naszej godności narodowej i poczuciu tradycji pozostanie na długo otwarta.

Jeszcze inny pomnik naszej polskiej kultury uległ wczoraj zniszczeniu, o czym dopiero dziś doszły nas wieści. Oto w czasie uroczystego nabożeństwa niedzielnego w katedrze św. Jana, które odprawiał prałat Kępiński w obecności Biskupa Galia i sufragana — ciężki granat przebił ścianę Katedry i w gruzy rozbił chór pełen ludzi, wraz ze sławnymi w całej Polsce organami. Misterna gotycka koronka chóru zawaliła się w dół grzebiąc setki ludzi. Dym i kurz wypełniły świątynię. Panika się zaczęła, ale ksiądz prałat mszy uroczystej nie przerwał — popłoch dał się opanować bez groźnych następstw. Wyniesiono zabitych i rannych. Msza dobiegła końca.

Za jeden Zamek Królewski w Warszawie i za świętojańską Katedrę, sto niemieckich zamków i kościołów powinno ulec zniszczeniu!

Powinno — ale kto to zrobi ? Czy nasi lotnicy potrafią zbombardować Katedrę Kolońską, Frauen-kirche w Monachium, a choćby św. Jadwigę w Berlinie?! Czyż robi to Bajan, rycerski zwycięzca międzynarodowego Challenge'u, czy potrafiłby tego dokonać tak niedawno poległy śmiercią pilota pilot o kryształowym charakterze, Włodarkiewicz, czy uczyni to herold miłości i ofiary kapitan lotnik Polesiński ?

Dotąd — nie!

Żaden z nich do zemsty i zniszczenia dla zemsty jakoś się nie nadaje. I stąd nasza bezradność. Z jednej strony przemoc, a z drugiej szacunek dla pracy wieków, dla dzieł ludzkiego ducha bez śladu zazdrości i nienawiści.

I niemiecki pilot o tym wie. Bombarduje bezkarnie zamki i katedry i śmieje się z angielskich ulotek grożących represjami. On się ich nie boi. Przecie ma do czynienia z ludźmi wychowanymi na tej naiwnej chrześcijańskiej etyce, która siły przed prawem nie uznaje! To też może sobie pohulać i moc pięści niemieckiej próbować.

Przerwałem na chwilę pisanie pod wrażeniem dopiero co otrzymanej ze sztabu wiadomości. Wojska bolszewickie przekroczyły wczoraj na całej szerokości naszą granicę. Cel ich marszu nieznany. Czy przychodzą jako najwięksi wrogowie hitlerowskich Niemiec, by bić ich razem, czy też łamiąc 10-letni pakt nieagresji rzucają się na nas z tyłu w chwili, gdy my prowadzimy śmiertelną walkę.

Wódz Naczelny dał zakaz stawiania im oporu. Dowodziłoby to raczej o jakimś wspólnym porozumieniu. Ale z drugiej strony od 300 lat żołdat rosyjski stawiający nogę na ziemi polskiej był przecież zawsze zaborcą. Trudno jeszcze myśli zebrać nad skutkami tego uderzenia w plecy. Dla Polski i dla Warszawy ma ono pozory śmiertelnego ciosu. Ale z drugiej strony wszystko, co w naszym chrześcijańskim rozumieniu przedstawia dziś »zło«

— szereguje się zgodnie przeciw Polsce. To już nie przypadek, nie kombinacja dyplomatów — Hitler ze Stalinem tworzą odległe bieguny — idą przeciw nam — razem.

Niech tak będzie. Zostaniemy do końca wierni sobie. Dziś, gdy już nadzieja na odsiecz zanika, rozpoczyna się dopiero prawdziwie piękna obrona stolicy.

Będziemy honoru armii i narodu bronić, broniąc Warszawy, bo Polska tego wymaga.

19 września.

Gdy ciężko na duchu — trzeba jechać na front. Odwiedziłem batalion majora T., który choć dawno przeniesiony w stan nieczynny, zebrał koło siebie kilka marszowych kompanii, dobrał trochę karabinów maszynowych, kilka działek przeciwpancernych i zgłosił się na Pragę dla jej obrony. Wyznaczono mu odcinek na ulicy Inżynierskiej, koło zakładów samochodowych. Trafić na jego kwaterę nie łatwo, bo dobiegowe ulice poprzerywane barykadami lub zawałone gruzami domów. Podchorąży Piłsudski, jeden z krewnych Pierwszego Marszałka, przeprowadził mój samochód przez niezabudowane place, przez dróżki boczne, osłonięte murem, ale mocno podziurawione lejami od granatów i podjechał pod napoły rozwalony budynek. To kwatery pana majora.

W jednym jego skrzydle dwa ocalałe jeszcze pokoje. Porządek w nich wzorowy, książki ustawione na półce według wielkości. Czysta bibuła na biurku. Ot — salonik literata i bibliofila. Major schudł trochę i poczeriał, podpira się laską, bo dawna rana z legionowych bitew wojny światowej dokucza, lecz trzyma się dobrze. Opowiada mi pierwsze dni bitew. Żołnierz młody, jeszcze nie ostrzelany dostał się od razu pod działanie bomb, od których mury dookoła się waliły. Trochę go to wstrząsnęło, ale jakoś przetrwał. A potem było już łatwo. Tak mocnego nalotu jak 9 września, a więc w dwa dni po objęciu pozycji, potem już nie było. Teraz artyleria bardziej gnębi, a żołnierz jeszcze nie wprawiony w wyzyskanie terenu.

Z przybyłym właśnie oficerem od fortyfikacji obchodzimy stanowiska działek przeciwczołgowych i gniazda karabinów maszynowych. Zapadają decyzje. Te dwa budynki trzeba połączyć silnym płotem drutu kolczastego, pogłębić rowy dobiegowe, przebić w murze dodatkowe i zapasowe strzelnice dla karabinów maszynowych, obłożyć je workami z piasku.

Wchodzimy do hali fabryki samochodów, której jedna ze ścian tworzy część drugiej linii oporu. Tu także muszą być przebite otwory strzelnicze.

Mimo woli rzucam okiem dokoła. Precyzyjne obrabiarki stoją rozbite, jakiś mikroskop z urwaną soczewką, łożyska kulkowe tak starannie wyrabiane leżą dziś setkami po ziemi. I znów ciężki wysiłek finansowy nad stworzeniem własnej wytwórni samochodów, dorobek pracy setki polskich inżynierów poszedł na marne, by zrobić miejsce dla niemieckiego Lebensraumu.

W międzyczasie przyszła seria kilku wybuchów, Niemcy zauważyli ruch, więc zaczynają grzmocić. Pociski przeniosły dach domu, ale trafiły w wagon stojący na boczniczy.

Po chwili zaczyna się na naszych tyłach dziwna nieregularna strzelanina. W kompanii ośrodka oporu w pierwszej chwili czuć pewne zdenerwowanie, czyżby to niemieckie czołgi przerwały się tak blisko i od tyłu zaczynają pukać ?

Mały patrol na rowerach podąża w stronę boczniczy. Major już się zorientował. Amunicję karabinową w wagonie ogarnął ogień od wybuchu, skrzynki kolejno będą teraz strzelać. Nieprzyjemna historia. Ten wagon wyciągnęli żołnierze wczoraj właśnie w nocy ze stacji towarowej na przedpolu po sprawdzeniu, że zawiera amunicję. Nie obeszło się bez ofiar w czasie jego przetaczania. Teraz nam dranie zapaliły dodatkowy magazyn. A dojść do niego już trudno, gdy płomień coraz bardziej rozszerza się i kule już na wszystkie strony zaczynają gwizdać.

Trzeba tylko śpieszyć się, by drugi wagon z granatami ręcznymi prędko odpiąć i odtoczyć. Na ochotnika podbiegają saperzy i rzec się im udaje.

Strzelanina dochodzi i do Niemców. Nie znają przyczyny, ale niemniej zaczynają bić gęściej w odcinek. Prace nad drutami trzeba będzie znów przerwać i odłożyć do nocy.

Gdy wracamy na kwaterę mija nas wóz z rannymi. Dalej pod osłoną jakiegoś muru montują żołnierze kuchnię polową na ogumionych kołach. Znaleźli ją w magazynie oddziału, który miał się zmobilizować w dziesiątym dniu wojny. Na to już było za późno, ale pozostała kuchnia, która teraz zastąpi starą podziurawioną od wczoraj szrapnelem.

Na tym odcinku obrony idzie zwykła codzienna służba frontowa. Wszak żołnierza w pierwszej linii nie obchodzą wieści polityczne, ani jakieś wypadki rozgrywające się pięćset kilometrów od stanowiska jego mózdzierza. Ma on drogę Niemcowi zagrozić, gdyby próbował podejść — ot i wszystko. Że przy tym lub i przedtem samemu się czasem oberwie, jak to dzisiaj zdarzyło się dwóm rannym kolegom — to trudno. Od tego się jest żołnierzem.

Nie powiedziałem majorowi T. o nowej wojnie polsko-bolszewickiej. Po co mu nią głowę zawracać. I tak aż za prędko ta wiadomość po froncie się rozejdzie. Może major żonę swoją z

dziećmi skierował na początku wojny gdzieś w Nowogródzkie, lub na błota Pińskie, by tam bezpiecznie przeczekała nawałę niemiecką. A teraz dostanie się ona w ręce sowieckie. I o to się nie spytałem. Rady na to nie ma.

Nie od dziś Polska polem walki tatarskich czambułów, co w jasyr brały ongiś rodziny naszych praojców. I na dwa fronty wytrzymywać najazdy nie pierwszy raz nam się zdarza w historii.

Pożegnałem mocnym uściskiem dłoni majora, który prosił o interwencję w sztabie, by więcej kozłów hiszpańskich mógł dostać. Będzie je miał — to pewne.

Toczą się rokowania o wyjazd z Warszawy personelu ambasad i poselstw oraz obcych poddanych, którzy jeszcze wśród nas zostali. Niemcy robią trudności, nie chcą się zgodzić na godzinne zawieszenie broni w odcinku szosy prowadzącej na Pragę ku Litwie. Nie my te pertraktacje prowadzimy, lecz czyni to sam korpus dyplomatyczny. Życie stolicy staje się dziś tak trudne, że nie dziwny się chęci zamiany na inne, gdy serce i krew z Warszawą nie łączy. I tak wdzięczni jesteśmy panu B., który z amerykańską flegmą czynił zdjęcia z zapalonych granatami domów. Byleby te filmy szczęśliwie trafiły do rąk właściwych. Trzeba szczegóły otwarcia drogi dla przejazdu kolumny samochodów dyplomatycznych obmyślić.

Po powrocie do sztabu czeka nas tam przykra nowina. Dwaj rycerze Maltańscy, zasłużonego w historii wojen od wieków Zakonu, a moi dobrzy znajomi Dominik Łempicki i Roman Chłapowski zginęli dziś w Alejach Jerozolimskich w czasie przejazdu do urządnego przez Zakon szpitala. Granat rozbił samochód. Dwie żony zostały wdowami, z tych jedna poślubiona w tym roku. Dla Maltańczyków śmierć piękna, bo w służbie bliźniego, ale rodzin tak żal.

Gazety podały dziś przykrą wiadomość, że Rząd Polski opuścił kraj, by na terenie sprzymierzonej z nami Rumunii móc dalej państwo reprezentować. Zdarzały się wyjazdy rządów przed inwazjami w Belgii i Serbii, ale sam fakt dla nas, trwających w obronie, nie jest miły. Radio niemieckie przyniosło dodatkową wiadomość, że i Wódz Naczelny, Marszałek Śmigły-Rydz opuścił armię wyjeżdżając za granicę rumuńską. Prędze j bym uwierzył, że Pan Marszałek objął dowództwo nad kompanią sztabową swej Głównej Kwatery i na jej czele uderzył na Niemców lub bolszewików. Ta sprawa napewno szybko się wyjaśni.

20 września.

Dzisiaj dzień spokojniejszy, więc odpowiedni do wyjazdu sztabowca na odcinek frontowy. Od kilku już dni meldunki

przynosiły wieści o walkach i dużych stratach na reducie Utrata. Wysunięty ten punkt frontu osłaniał od południa Eisnerów i umożliwiał utrzymanie na północnym skrzydle szerszego przyczółka. Trzeba tam pojechać, aby przekonać się, czy ten wrażliwy punkt frontu ma dosyć siły, by przetrwać.

Pozostawiając samochód za przejazdem kolejowym dochodzę do kwatery kapitana P. mieszczącej się w ulicy Ząbkowskiej. Dookoła stoi domów już niewiele całych, ale ten jeszcze się ostał przed pożarem. Kapitan z obwiązaną głową, bo cierpi na bolesną newralgię, siedzi w małej izbie ze swym adiutantem. Ale humory doskonałe.

»Na Utracie — mówi kapitan — rzeczywiście ciężko. Gdy z początku na okopaną tam kompanię zaczęły lecieć pociski z trzech stron, narobiła gwałtu. Co chwila telefonowali z oburzeniem, że nasza własna artyleria bije za krótko i przyczynia im straty. Gdy wyjaśniło się, że to krzyżowy obstrzał — niemiecki — kompania uspokoiła się. Wie czego trzymać się. Chciałem ją wczoraj złuzować. Dowódca prosił o pozostawienie. Urządził się, przyzwyczał, woli front jak bomby na kwaterach wypoczynkowych*.

»Do Utraty Pana nie puszczę, bo łażenie wywołuje zaraz napad ogniowy i niepotrzebne straty ludzi. Z takim wojskiem jak mam, możemy się tu rok trzymać. Tylko więcej amunicji do armat!«

Podejrzewam, że to kapitan swoimi spacerami na Utratę wywoływał ten ogień i dlatego innych nie chce dopuścić. W każdym razie o ten odcinek można być tak długo spokojnym, jak długo dom nie przywali dowódcy, co się lada chwila może przecie zdarzyć. Bo i w tej chwili jakiś sąsiedni budynek oberwał swoją dzienną porcję granatów.

Nie mogąc dojść na Utratę, trzeba choć obejrzeć ją z góry. W kamienicy pięciopiętrowej, która dzięki widać jakiemuś niewygodnemu kątowi w ustawieniu dla niemieckich dział zawdzięcza swoje ocalenie, mieści się na poddaszu nasz artyleryjski punkt obserwacyjny. Młody kapitan B. z przyjemnością pokazuje mi rozległą panoramę z okienka w dachu. Tam Kozia Górka, którą kilka razy niestety na darmo szturmowaliśmy, tak mocno obsadzona. Tam folwark Dutrzyma, za tą fabryką stoi nieprzyjacielska bateria, która wciąż zmienia stanowiska, więc przyłapać ją trudno. Dziś trochę mgły, a więcej dymów od pożaru, którym pali się jakiś większy blok fabryczny, więc widok nie tak wyraźny, jak zwykle. Może i dlatego dziś spokój większy. Wczoraj gwizdało koło nich zdrowo. Ale cały zwiad artyleryjski tym się nie przejmuje. Czy lecieć z piątego piętra na dół, czy czuć pięć pięter walących się na głowę w piwnicy — to przecie wszystko jedno, a tu przynajmniej świeże powietrze na gorze. Byle dali więcej pocisków do armat.

Tak, ta sprawa amunicji, której było niewiele, a której jest coraz mniej — to wciąż ciężąca w pamięci bolączka. Nie powiem

kapitanowi B., ile jeszcze pocisków na działo zostało na składach. Po co go martwić. I tak mu dziennie z góry wyznaczają dotacje. O ileż weselej tutaj — jak w wysokich dowództwach, bo za dobrze tam zna się położenie.

W południe zajechałem »do domu«. Rodzina szła właśnie do górnego mieszkania na obiad. Nasz Stasinek z okrzykiem radości wita każde odwiedziny i to bez względu na to, czy przywożę, czy nie przywożę paczki cukierków od Wedla. Opowiada z zapalem »o wojnie« — o tym jak rozbił Niemców, jak schowali się oni pod kanapę i trzeba było cały dom podpalić, by stamtąd Prusaków wygonić. Zabawa w wojnę na całego.

Okazało się, że kapitanowa W. z Alei Walecznych na Saskiej Kępie, która z pięciorgiem dzieci musiała opuszczać ostrzeliwany od frontu dom i która na Wiejskiej znalazła również jak moja żona gościnne schronienie, przeszła kurs sanitarny i może dawać zastrzyki przeciw anemii mej żonie. »Tylko dobrze się odżywiać, dużo mleka, witamin radził na dwa dni przed mobilizacją zacny dyrektor sanatorium, który leczył mą żonę. Ale skąd tu w oblężonej Warszawie wziąć witamin albo mleka?! W naszej kamienicy na Pradze stoją w podwórzu co prawda dwie krowy i co rano te pięć litrów mleka wydojonych po paszy ze słomy siennikowej znoszonej przez same baby i z małej ilości obierzyn kartoflanych rozdziela właściciel krów między dziesięć czy piętnaście matek mających niemowlęta do wykarmienia. W tych warunkach nawet dla chorej ale dorosłej osoby trudno jakąś część pozyskać. I słomy siennikowej nie ma skąd za mleko dostarczyć. Trzeba więc choć zastrzykami wątroby zdrowie żony ratować.

Dziś zresztą obiad był tam wspaniały. Na cały blok mieszkalny przypadło z magistrackiego podziału kilkanaście kilo masła. Komitet kamienicy rozdziela je sprawiedliwie na głowy. To lepszy sposób, niż trzymanie ludzi w kolejkach pod sklepami z żywnością.

Inna bieda zagraża. Skończył się węgiel i jutro nie ma na czym ugotować obiadu. Trzeba będzie gdzieś w składach kolejowych o niego postarać się i samochodem worek tu przywieźć za najbliższą bytnością. Okazuje się, że Remarque miał rację, rozpoczynając swą powieść o wojnie od opisu rozdawania obiadu. Tak łatwo zamiast od kul — zginąć wśród wojny od głodu.

Gdy wracałem przez most Kierbedzia na placu Zamkowym koło kolumny gwizdnął szrapnel i zabił człowieka w czarnym płaszczu. Niby dzień spokojny i na froncie, jakby Remarquowskie »nic nowego nie zaszło«...

Przysłano nam ze sztabu generała Rómmla ciekawe zestawienie sił niemieckich, które trzymamy w szachu naszym oporem. Jest tego przynajmniej dziesięć dywizji piechoty i co najmniej dwie dywizje zmotoryzowane. Wśród nich najbardziej jest ciekawe nasze vis a vis na Pradze. Otóż stoi tam wśród innych II dywizja liniowa, II rezerwowa i II Landwehry; wszystkie pochodzą z Prus Wschodnich. Spełniły się przewidywania naszego sztabu, że podstawowe kadry wojska pokojowego zamierzają Niemcy rozwinąć potrójnie. Podziwiać trzeba, w jak krótkim czasie Hitler zdążył nafabrykować tyle sprzętu wojennego, by na takie rozwinięcie starczyło. Ile setek tysięcy par butów, mundurów, kocy, ile karabinów maszynowych i armat przerzuciły w ostatnich latach warsztaty niemieckie do magazynów mobilizacyjnych. Gdy reszta Europy myślała o podnoszeniu poziomu życia swych obywateli, w Niemczech ograniczano zakup trzewików na to, by fabrykować buty żołnierskie. Jakość ich napewno nie odpowie wymaganiom wojny; podeszwy częściowo wyrabiane z ersatzów skóry rozleżą się przy deszczowej kampanii jesiennej. Ale na razie w magazynach były i pozwoliły zmobilizować tyle sił, by przygnieść nimi Polskę.

Największą trudność mieli chyba Niemcy z dostarczeniem do tak rozbudowanej armii kadr oficerskich i materiału żołnierskiego. Kilkunastoletnia przerwa po wojnie światowej w szkoleniu oficerów — poza zawodową kadrą stutysięcznej Reichswehry — musiała się odbić na przygotowaniu pokojowym korpusu oficerskiego. Pilotów młodych i załóg dla czołgów mają oni dosyć, ale obsadzenie dowództw batalionów, pułków, wyższych sztabów już stanowi dla nich trudność. Zapewne i tutaj wynajdą sposoby zaradzenia złemu. Poruczników z roku 1918 przeszkalali gwałtownie i awansowali od razu na majorów i podpułkowników.

Dla armii uderzeniowej umiejętności ich wystarczały, ale gdy pod Warszawą przyszło zorganizować już natarcia, uzgodnić współpracę artylerii z piechotą, jakoś efektów wielkich nie widać. Duszą nas oni przewagą lotniczą i artyleryjską. Piechota ich nie wzbudza u nas wielkiego respektu. Podobnie jak oficer, tak i szeregowiec szkolony jest gwałtownie w skróconych okresach, ale my zawodowi oficerowie wiemy, jaką wartość ma popolite ruszenie w stosunku do żołnierza przeszkolonego normalnie. Póki idzie naprzód, poprzedzany korpusami pancernymi otwierającymi mu drogę, i ten żołnierz odnosi zwycięstwa, ale niechby doszło do uporczywych walk, które miała stoczyć nasza na wschodzie grupująca się armia po okresie odwrotu — to kto wie, jaki byłby los bitew. Bolszewicki sojusznik przyszedł bardzo w porę z pomocą, zadając nam cios w plecy!

Ale co nas to zresztą obchodzi: my w Warszawie wiemy, że wiążąc kilka korpusów niemieckich, zmuszając je do wielkiego wysiłku bojowego przyczyniamy się pośrednio do pogromu Niemiec, który przyjsć kiedyś musi. Tej amunicji wystrzelwanej tutaj z taką rozrzutnością, tych luf ciężkiej artylerii żłobionych

co dzień wodzącymi obręczami granatów i wymagających przez to wymiany, tych palących się w powietrzu od naszych strzałów bombowców, a co gorzej ginących przy tym pilotów i obserwatorów — zabraknie kiedyś głównemu kwatermistrzowi czy szefowi sztabu i stąd ta dążność do możliwie szybkiego zakończenia wojny w Polsce.

A tymczasem Warszawa i Modlin bronią się. Zamknęły mu one dziesięć linii kolejowych, którymi mógłby sobie przesunąć dywizje wciągnięte głęboko w kraj polski na front zachodni, umożliwiając mu wcześniejsze rozpoczęcie tam ofensywy, tam na zachodzie, gdy Anglia i Francja kończą dopiero swą mobilizację. Zamykają mu gwiaździste zbiegające się tu szosy, zamykają drogę wodną Wisły, Narwi i Bugu. Ten niewielki kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych liczący wycinek Polski nie jest tylko dymiącym się od pocisków miastem, ale również jakby barykadą wyrosłą na drodze marszu poprzez Europę.

Dobrze sobie uporządkować w głowie zrozumienie dla własnego żołnierskiego zadania. Rozświetlają się, jakby w słońcu, ciemne nieraz myśli. Narasta nowa energia, wola przetrwania tężeje.

Rokowania o wyjazd dyplomatów i cudzoziemców odniosły skutek i kolumna kilkunastu samochodów przedelfowała przez nasze placówki. Wracają do siebie. My jesteście *u siebie* i wcale im nie zazdrościmy. Tak już dużo naszego kraju pod obcą okupacją, a tak niewiele wolnego terenu, że choć na nim trochę ciepło i czasem gorąco, ale lepiej niż na poniewierce wśród obcych.

General Rómmel powołał dziś do swej rady przybocznej komitet z dwunastu najpoważniejszych obywateli miasta. Pochodzą oni ze wszystkich stronnictw politycznych, są jakby zewnętrznym wyrazem tej zgody narodowej panującej w stolicy. Tworzymy jeden wielki obóz wojskowy, niczym Zbaraż z Sienkiewiczowskiego »Ogniem i Mieczem«. Na procesowanie się, tarcia, wymówki, czy spekulowanie o przyszłości miejsca wśród nas nie ma. Jeden jest wróg i jedna chęć jak najdłuższego przetrwania. Wszystko resztę to furda. A przy tym bomba z niemieckiego Dorniera, czy strzał z czeskiego Henkla zrównał wszystkie stany. Grozi ona każdemu jednako. A głód również na wszystkie piętra zaglądać zacznie niebawem.

Prezydent Starzyński pilnuje tej jedności. Pracuje wśród strzałów przy biurku, jeździ po mieście, przemawia przez radio, pisze odezwy, nie odgradza się od: ' ludzi. Byłem wczoraj u niego w Ratuszu. Brak nam wciąż sił do wykończenia fortyfikacji, tym bardziej, że praca odbywa się pod ogniem.

Zapytuję się Prezydenta, czy nie użyczy nam. swych batalionów rezerwy policyjnej, przecie to starsi wiekiem, ale dobrze ongiś wyszkoleni żołnierze. Major Starzyński namyślił się chwilę: »Jutro bataliony staną. u nas na Pradze do pracy. Zapowiem ludności, że część policji poszła na front — o bezpieczeństwie

publicznym musi teraz myśleć każdy obywatel i wspomóc tę drugą. część, która pozostała na służbie. Do widzenia pułkowniku, moich policjantów na odcinkach waszych od-wiedzę«.

Myślę, że Prezydent nie zawiódł się na, ludności. Pomimo osłabienia służby bezpieczeństwa, a nocy tak ciemnych bez światła, mało było słycać o dobieraniu się do opuszczonych mieszkań, o rozbijaniu porzuconych sklepów. A roboty przy drutach poszły rażniej naprzód, major T. kozły hiszpańskie dostanie. Nie mniej rezerwa policyjna będzie kiedyś miała w swych koszarach tablicę z nazwiskami poległych w roku 1939 w obronie Warszawy.

Po południu rozrzuć Niemcy z samolotów znów tysiące kartek. Rezultat był ciekawy. Gdy ktokolwiek podnosił je na ulicy z ziemi dla przeczytania, zaraz pomruk odzywał się dookoła: »Rzuć pan ten szwabski pomiot do diabła i wstydź się pan czytać, co te dranie piszą«. To też ludzie obojętnie przechodzili obok fruujących kartek. Ulicznicy je darli z pełną satysfakcją. Zdarzyła się Niemcom już raz gruba pomyłka. Oto rozrzućili nad stolicą tysiące ulotek wzywające *Lwów* do poddania, skoro *Warszawa* już padła. Można sobie wyobrazić jaką radość sprawił ludności taki lapsus propagandy niemieckiej i użycie pod złym adresem przysłanych druków niemieckiego II oddziału. Od tej chwili wszystko co głośiły ulotki z góry uważano za kłamstwo.

Dla ścisłości pamiętnikarskiej muszę jednak treść dziś rozrzuconych ulotek zapisać. Otóż i one znów wzywały do poddania ponieważ, skoro Rząd i Naczelnny Wódz już kraj i armię opuścili, to opór stolicy nie ma żadnego celu. W razie jego trwania poza godzinę północną dzisiejszego dnia »militarne a gwałtowne środki przez dowództwo niemieckie uruchomione zostaną«. A więc forma ultymatywna. Czy te pogróżki się spełnią?! W każdym razie trzeba się w nocy dzisiejszej dobrze wyspać, by być na jutro wypoczętym. Tak myślał ' przeciętny Warszawiak, jeśli ulotkę przeczytał.

Pod wieczór, znów nasza ulica była bombardowana i to dla odmiany szrapnelami. Mój szofer nie wtoczył samochodu do sieni, a zostawił go na małym podwórzu, gdzie dotąd kule nie padały. Tym razem jednak cała zawartość szklanki szrapnelowej dużego kalibru sypnęła w samochód i podziurawiła go jak sito. Szkoda mi tej żółtej »Tatry«, która pocziwie wozila mnie przez trzy tygodnie wojny i tyle nalotów dzielnie i cierpliwie wytrzymała. Trzeba będzie biegać piechotą albo szybko postarać się o inną maszynę. Szofer, starszy kanonier Janiak, również srodze zmartwiony, bo miał zaufanie, że tej żółtej limuzynki kule się nie chwytają. Nie wiadomo, jak będzie z inną. Płaszcz, koce, plecaki, buty, które leżały w samochodzie posiekane na sieczkę.

Dziś po raz pierwszy schodzimy na noc do naszego »schronu«. Jest to zwykła piwnica o stropie ceglany, który ma wszelkie

widoki zawalenia się, jeśli nie od bomby, to choćby od mocnego podmuchu. Schron ma poza tym dwie zalety, nie słychać ciągłych huków, a nadto jest cieplejszy. Te okna bez szyb w naszym klimacie już we wrześniu nie okazują się praktyczne. Po prostu marznie się w nocy. Piwnica wyprzątnięta, szczurów ponoć niewiele, łóżka poznoszone z góry, ustawione rzędem. Zapas świec dostateczny, okna zapchane worami z piaskiem.

Pierwszy wieczór w nowym otoczeniu przechodzi nam wesoło. Oto w odwiedziny przychodzą saperzy z sąsiednich batalionów, którzy widząc naszą nędzę sztabu nieprzydzielonego do żadnej »linii« sprowadzają puszki konserw, jedną i drugą butelczynę śliwowicy, zjawia się i kwatermistrz kapitan A. O., mój brat stryjeczny, z którym wojnę 1919 i 1920 roku razem odbywaliśmy w sztabie generała Szeptyckiego.

Robi się miły, wesoły nastrój, wracają wspomnienia z dawnych wojen, opowiadamy sobie kawały, kto, którądy i jak wiał przed współczesnymi bombkami, zacne kochane saperzy!

Dobrze po północy kładziemy się spać, nie przeczuwając nocnej niespodzianki. Oto po kilkunastu minutach od zgaszenia świec odzywa się głośnie podwójne chrapanie. To szef placówki informacyjnej major D. oraz jego oficer podchorąży Cz. rozpoczynają niesamowity koncert. Nasz szef odcinka saperów major Z. przewraca się z boku na bok, wreszcie zabiera materac i wędruje z powrotem na górę. Lepiej spać przy muzyce granatów jak u nas w schronie.

Jeszcze w ciągu nocy obudził nas goniec z rozkazem stawienia się przed 8 rano na odprawę do sztabu.

22 września.

Major Z. zabiera mnie swoim wozem, wraz z szoferem Janiakiem, który pójdzie czynić starania o wydostanie nowej maszyny.

Przejazd przez most odbywa się dziwnie gładko i w spokoju. W podziemiach nadpalonego budynku, gdzie mieści się właściwe dowództwo obrony Pragi, nastrój niezbyt przyjemny. Świec mało, więc w ciemnościach potracają się oficerowie i szeregowcy. Podziwiam możliwość pracy w tych warunkach.

Z trudem odszukujemy generała Z. oczekując czy nie usłyszymy czegoś niedobrego. Obawy płonne. Po prostu idzie o zabezpieczenie kanałów podziemnych na Pradze przed możliwym wykorzystaniem ze strony nieprzyjaciela. Ważnym jest również zabezpieczenie mostów od min płynących z prądem. Po trzytygodniowej suszy, która tak fatalnie ułatwiła działalność niemieckiego lotnictwa, Wisła ma bardzo niski stan wody i

wytworzyła wiele mielizn, co utrudnia puszczenie kryp z materiałem wybuchowym. Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Mają być wystawione posterunki saperskie i zorganizowane zapory.

W chwili, gdy kończyła się odprawa, a więc przed godziną 9 przyszło jedno, drugie, dziesiąte uderzenie bomb. Głębokie piwnice przyjmowały falowanie ziemi tak, że miało się wrażenie kołysania statku. Ktoś wracający z góry zameldował, że eskadry liczące około stu dwudziestu płatowców bombardują miasto. A więc to tak? Zabawa się zaczyna!

Przez półtorej godziny siedzieliśmy z majorem Z. w podziemiach, rachując uderzenia bomb i oceniając ich kaliber. Dudnienie i falowanie jakoś nie ustawało, a czas biegł bez możliwości wydania zarządzeń. Trzeba było w końcu wychylić się na miasto. Major Z. siadł przy kierownicy i zaczęła się jedna z jazd, która na długo pozostanie w pamięci. Musieliśmy dojechać na drugi koniec miasta do zarządu wodociągów miejskich, by stamtąd zabrać plany kanałów na Pradze. Już wyjazd z Placu Zamkowego okazał się trudny. Strzępy porwanych drutów miejskiej sieci tramwajowej zwisały z góry, pełno świeżych lejów od bomb na jezdni. Kościół Bernardynów pali się, na Podwalu właśnie z trzaskiem zwałił się jakiś dom od bomby, u wjazdu na Krakowskie Przedmieście dwa inne pożary, jakiś samochód eksplodował koło pałacu Potockich.

Major Z. nie darmo przebywał długo i często w Paryżu i ma wyjątkową wprawę jako wielkomięjski kierowca samochodowy. Trzeba wyminąć lej, zastopować, skręcić, dodać gazu, by wyrwać się od żaru i buchających płomieni, wypatrzeć drogę, jak jechać. Próbuje przebić się na Senatorską i Plac Teatralny, ale i tam już pożar, wracamy na Nowy Świat, zasypany gruzem rozwartego bombą domu na rogu Świętokrzyskiej. Trzeba ulicą Kopernika objechać, szukamy po Warszawie przejazdu, jak po mieście nieznanym. A niesamowity zgiełk trwa. Wszystkie nasze armaty przeciwlotnicze wałę do rozgrzania luf, cekaemy z ziemi i z powietrza trzeszczą, niemieckie bombowce pikują co jakiś czas aż nad dachy domów i ze świdrującym uszy jazgotem znów się w górę podnoszą. Filmy dawały taki obraz przyszłej wojny. Teraz każdy z nas jest jej świadkiem. Przemykając się Jasną, Bracką, Marszałkowską dojechaliśmy do dyrekcji filtrów. Rzucamy samochód podsunęty pod sam mur domu i wiejemy pod dach.

W Dyrekcji Wodociągów ruch, ale bez paniki. Dyrektor Downarowicz zaraz nas przyjmuje i sprowadza do schronu, omawiamy sprawę kanałów, a potem on przedstawia swoją sytuację. Niemcy od rana bombardują filtry i stacje pomp wodociągowych. Główny 100-centymetrowy rurociąg przerwany, miasto pozostało bez wody i to na czas dłuższy.

Od razu rzuca się w oczy planowość działania. Rozbić dopływ wody, a potem domy podpalać. Straż pożarna bezsilna.

A nalot trwa dalej. Luzują się na przemian nadlatujące coraz inne eskadry, całe miasto ogarnięte bombami.

Żeby to choć jedna z naszych eskadr myśliwskich mogła im drogę zagrozić!! Żeby to sto armat mogło z ziemi strzelać! Ale cóż? Nasze nieliczne baterie, same zasypane ogniem, muszą co chwila milknąć, choć znów się odzywają. Ze wszystkich stron pikowane muszą gorzej strzelać. Uczucie wścieklej bezsilności ogarnia człowieka.

Trzy razy próbowaliśmy chwilę ciszy wyzyskać, by ruszyć na Pragę i trzy razy podmuchy od bliskich wybuchów zapędzały nas przeczornie z powrotem do schronu. Południe już dawno minęło. Przecie trzeba wracać.

Siadamy i w imię Boże ruszamy. W Alejach Ujazdowskich jakoś spokojniej, na Placu Trzech Krzyży dwa pożary domów. Na chwileczkę skręt w prawo by zajrzeć na Wiejską. Stoi dom czy nie stoi?! Jakoś jeszcze istnieje. Rodzina w schronie. Dobrze, niech tam siedzi. Wolimy wybrać dla dalszej drogi most Poniatowskiego, niż jechać przez Kierbedzia. Otwarty, bo otwarty i w obstrzale nie bardzo przyjemny, ale przynajmniej jechać można setkę na godzinę, a na tamtym łatwo w pośpiechu rozbić się o środkową kratę. Tym razem i po naszym moście trudno było przyśpieszyć, tyle powstało dziur nowych i nagromadziło się gruzów z potrzaskanych balustrad kamiennych. Wreszcie jesteśmy na Pradze, tej Pradze, która uchodzi za wciąż dymiący wulkan. Tym razem właśnie ona wydaje się oazą spokoju. Cała furia nalotu poszła na samą Warszawę i to głównie na centrum miasta.

Póki człowiek sam przebywał w tym piekle, póki załatwiał polecone sprawy saperskie, póki nalot trwał jeszcze, a przeciągnął się długo, bo do szóstej wieczór — szło jakoś. Ale potem zapadł zmrok, jakiś dziwnie wczesny. Wyszliśmy ze sztabu do portu na Wiśle. Warszawa, ta kochana Warszawa gorzała jak pochodnia. W kłębach dymu, w podmuchach nagłych czarnych chmur, gdy jakiś dach walił się, w trzasku aż tu słyszonym przepalonych murów płonęła Warszawa. Królewski Zamek palił się jasnym ogniem. Tym razem już go nie odratują — nie ma czym gasić pożaru. Powoli, w miarę zapadającej nocy rozszerzała się po niebie nad stolicą Polski coraz czerwiejsza, coraz bardziej krwawa luna. Zabarwiła się od niej Wisła i tak wśród dwóch lun na chmurach i na wodzie gorzał stary Zamek.

Ludzie stali na Pradze, patrząc w ciszy na ogień, który niszczył naszą dumę, nasze narodowe pamiątki, nasze dzieła sztuki, polski dorobek i prace pokoleń... A w sercu nabrzmiewała, rosła i przelewała się wściekła nienawiść.

Dobrze, że znów granat w Pragę uderzył, dobrze, że za nim poszły inne, bo serce nienawiścią przejęte mogło pęknąć z bólu — a musi trwać i przetrwać, by pogrzebania zła się jeszcze

doczekać.

Wolno w milczeniu rozchodzili się ludzie z nadbrzeża, do swych pocharatanych domów, wśród poświstu ciężkich pocisków armatnich, wśród trzasku granatów, wybuchów i chichotu szrapneli...



23 - 28 września 1939

23 września.

Noc była przykra. Armatnie strzały nie ustaly na chwilę. Z różnych kierunków a więc z pod Rembertowa i Wilanowa, z za Służewca i wzdłuż Wisły leciały ze świstem na Warszawę i Pragę całą noc pociski, biły w kościoły, w szpitale, w domy i fabryki, w parki miejskie i dzielnice handlowe, zrywały dachy, strącały wieże i kominy. Otwierały szeroko rany w murach, zasypywały gruzem ulice, zabijały odłamkami ludzi, konie z kolumn taborowych i ze szwadronów ukrytych w podwórzach.

Nocny obstrzał jest gorszy od dziennego, bo strach lubi ciemność. Ale gdy ten obstrzał trwa długie, coraz dłuższe godziny i nie ustaje na chwilę, nerwy zaczynają trzeszczeć. Trzeba bardzo dużego zmęczenia, by móc wreszcie zasnąć, by choć chwilę nie czuć, nie myśleć, nie słyszeć i by się strachem zwierzęcym — nie bać.

Noc spędziliśmy w piwnicy, przygarnawszy także inżynierów przysłanych do naprawy rurociągów i wskazania nam rozkładu kanałów. Zachowali się tak dzielnie i spokojnie, że zmuszało to nas—oficerów—do większego panowania nad sobą.

Gdy głośniejszy trzask budził, wychodziło się na podwórze, by zobaczyć, które piętro domu tym razem rozbite i czy ściany nie zarysowały się jeszcze. Ta przykra groźba przywalenia gruzami cegieł z pięciu pięter wciąż wisiała tej nocy nad każdym prawie z mieszkańców Warszawy. Aż zazdrościło się chłopcom, którzy w rowach strzeleckich na otwartej przestrzeni mają wyiskrzzone niebo nad sobą. I nad nimi ciągną z gwizdem pociski, niejedyn bije w okop — ale nie ma tam zmory wiszącej nad tymi, którzy wśród murów zamknięci oczekują wciąż przyjscia nieznanego. W tę noc budziło się u mnie jedno może dziwne, ale zrozumiałe, bo tak ludzkie uczucie. Oto każdy granat bijący w Pragę sprawiał ulgę. Mógł uderzyć w Warszawę, w jeden dom na Wiejskiej... Lepiej, że tu koło nas jakąś ścianę rozwalili!

W samą porę na dziś nadarzyło się więcej sztabowej roboty. Gorzej żołnierzowi, który pod ciężkim ogniem trwając w zupełnej beczynności, musi czekać godzinami, a czasem tygodniami na chwilę nieprzyjacielskiego ataku. W sztabie trzeba myśleć, trzeba poleczone sprawy załatwić. To też z przyjemnością rozkładamy o świcie plany miasta na łózkach i z inżynierami ustalamy organizację zapór, sposób wykonania, szczegóły techniczne. Potem trzeba jechać do sztabu na umówione spotkanie z saperami mającymi zabezpieczyć Wisłę. Major Z. zabiera mnie znów do swej małej limuzynki. Szofera Janiaka zostawiam, po co go narażać.

Wyjazd wśród kanonady daje wrażenie, jak te, które przeżywało się na patrolach ułanów legionowych, w przesmykach karpackich przed 25 laty. I tam też czekało się wciąż strzału, który trafić powinien.

Tylko tu inne warunki. Bramę szeroko roztwierają, zapuszcza się motor, by móc potem na pełnym gazie wyjechać w ulicę, wziąć skręt na Targową, ominąć dwa trupy końskie leżące od wczoraj na rogu, skręcić w lewo, gdzie duży lej po pięciusetkilogramowej bombie z zeszłego tygodnia pozornie zagrozi nam drogę, trzeba go zręcznie wyminąć, potem wypadnie przejechać zygzakiem przesmyk barykady. W tym miejscu major zwalnia, bada sytuację, bo dojeżdżamy w okolice mostu. Właśnie seria czterech granatów uderzyła za kościołem św. Floriana. Dobra nasza. Zanim zdążą nabić następną serię i odpalić — już będziemy na połowie drogi za Wisłą. W tym miejscu od dwóch tygodni każdy szofer skupia się w sobie, mocniej ścisną kierownicę i gazu dodaje. Wśród ścian kratowych konstrukcji rwiemy naprzód. Tam w połowie była wczoraj wyrwa, słabo założona deska. Trzeba przed nią zwolnić. Już jest za nami! Ale jakiś rowerzysta pęta się na jezdni. Mój panie, jedźcie prędzej, czy nie wiesz, że wczoraj jakimś kolarzowi głowę tu urwało?! Mijamy go w chwili gdy dwa zapalające szrapnele uderzyły w dach pięknego domu stojącego po lewej stronie na Powiślu. Dach zaczął palić się, lecz widać odratowali, skoro przy powrocie ognia tam już nie było, a dom stał cały. Zajeżdżamy pod bramę wjazdową Zamku, tam zostanie samochód. Krótki raport w sztabie i próba dalszej jazdy. Próba nieudana.

Plac Teatralny zawalony gruzem. W Ratuszu zginął wczoraj przy biurku wiceprezydent miasta Około-Kułak, ale major Starzyński urzęduje tam nadal. Gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych od frontu się pali, może go odratują. Z okien pałacu Kronenberga biją płomienie, w Muzeum Zachęty Sztuk Pięknych dogasają zgliszcza obrazów. Gdyśmy mijali poprzednio Muzeum Przemysłu i Rolnictwa na Krakowskim Przedmieściu, gorzało i ono wśród czarnego dymu. Zbiory polskiej sztuki i nauki trawi dziś ogień niemiecki. Wreszcie na ulicy Traugutta i Czackiego major zastopował. Dalej jechać nie można. Tyle belek palących się na drodze, potrzaskanego szkła, tak ciemno od dymu, że trzeba zawracać, tym bardziej, że na

Pragę mu pilno. Wsiadam więc i już na piechotę dążę do gmachu Inspektoratu, gdzie mam nawiązać łączność z Brygadą Kawalerii Poznańskiej. Zaczyna się pełna wrażeń wędrówka przez bombardowaną Warszawę. Choć to godzina dziesiąta rano, w mieście ciemno od dymu, który gryzie gardło i oczy. Trzeba obchodzić palące się witryny pięknych magazynów po lewej stronie ulicy Mazowieckiej, bo żar zbyt wielki, a iść pod drugą ścianą nie można, bo tam teraz stukają szrapnelowe kulki i lecą odłamki. Próbuję przedostać się na Jasną. Może u diabła tam ciszej ?! Ale Jasna również się pali. Z jakiegoś domu wynoszą na gwałt sprzęty, ludzie wybiegają z bramy, rozglądają się przerażonymi oczami dokoła, by w tym piekle jakie nas ogarnia, znaleźć miejsce do schronienia. Biją do bramy zamkniętej, chcą przekrzyczeć hałas, wołają by ich wpuścić, bo pali się ich dom!

Wzdłuż Jerozolimskiej Alei, tak szeroko otwartej ze wschodu na zachód suną ze skowytami niżej niż gdzie indziej granaty.

Przychodzi znów moment wahania: »Iść, czy zawrócić?! Może by tak przeczekać, sprawa nie jest tak pilna...«.

Ale w ślad za tą refleksją — budzą się inne myśli... czyż warto się szanować? Gdy dokoła walą się nadpalone mury Warszawy, gdy cała Polska się wali, gdy grozi okres powrotnej, choćby krótkiej niewoli narodu, cóż znaczy życie człowieka ? Cóż znaczą granaty lecące nisko na Aleje z za Wisły?!

Przeskok przez ulicę zrobiony. Na Brackiej trochę ciszej.

Kościół św. Aleksandra stoi na pozór nietknięty. Wiatr na chwilę rozwiał chmurę dymu i napis umieszczony złotymi literami na podstawie trójkąta stał się z daleka czytelny.

Napis to historyczny, gdyż oddanie kościoła pod wezwanie św. Aleksandra patrona ówczesnego cara miało okupić pozwolenie na budowę świątyni. Ten napis, który wówczas był wyrazem całej myśli polskiej:

**»PANIE JEŚLI MOŻESZ ODWRÓĆ ODE MNIE TEN
KIELICH GORYCZY!«**

I dziś w obłokach przewijających się dymów pożarnych słowa te nabrały znów patetycznej wymowy.

Po obu stronach kościoła płoną dwa nowoczesne domy. Równie, spokojnie, żadnym strumieniem wody nie przerywanym pożarem. Za kościołem placik. Zwykle był pokryty zieloną murawą. Dziś i on zmienił wygląd. Groby na nim wyrosły. Jest ich już kilkanaście, a co dzień nowe przybywają. Jakaś wiązka kwiatów, jakiś z dwóch kawałków drzewa naprędce zbity krzyżyk świadczy, że mogiły kopał ktoś bliski poległych. Ale są i zwykle kopczyki szarej gliny. Mówiono mi, że rodzinę z siedmiu

osób równocześnie zabitych pogrzebano tam niedawno. Obcy, dobrzy ludzie to zrobili.

Czy skręcić na Wiejską, wszak to stąd kilka kroków zaledwie. Ale, czy jest po co iść, co tam w domu zastanę ?

W tym momencie wyjechał z ulicy Wiejskiej samochód pełny chleba. Strzelają — to strzelają, pali się, to się pali — ale chleb do linii frontowej dowieźć trzeba. Żołnierz siedzący na kupie bochenków zajada smacznie pieczywo, ma minę zadowoloną, bo wie, że go z radością powitają koledzy. Ten widok przywraca równowagę ducha. Czasem drobne spotkanie tak ulży człowiekowi! Przede wszystkim nie robić dramatów!

Dom na Wiejskiej jeszcze stoi. Mój starszy syn poszedł właśnie ratować Ambasadę Francuską. Tyle pięknych dywanów, mebli, książek niszczone wśród płomieni. Może choć coś uda się ocalić. Rodzina wychudła i wybladła, lecz nerwowo wcale dobrze się trzyma. Największy kłopot z wodą, te dwa garnki przyniesione wczoraj po długim staniu w kolejce dla dziesięciu osób nie starczą. A dzisiaj przecie nikt nie ma sumienia wysyłać dzieci po wodę.

Opowiadają mi chórem, jak to w ich okręgu domy od pożarów ratują.

Zacytuję choćby dwa wypadki. Oto podchorąży z obsługi kulomiotu przeciwlotniczego dojrzał wczoraj wśród nalotu na dachu błysk bomby. Piękna willa hr. N. za chwilę stanie w płomieniach; dobiera więc sobie piętnastoletniego harcerza, syna kapitana i obaj biegną na dach. Tam już elektronowa bomba przepaliła blachę i prysła ogniem na strychu. Jeden i drugi worek piasku rzucony w otwór. Jeszcze trzeciego nie zdążyli rzucić, gdy przelatujący odłamek urwał komin nad nimi. Ledwo nie zsunęli się od podmuchu na ziemię. Ale się jakoś utrzymali. Żołnierze przybiegają na pomoc i donoszą piasek. Ogień zasypany, dom chyba przetrwa bez szkody.

A inny obrazek, z którego widać, że w jednym z bloków przy ul. Wiejskiej wiadomo komu na pewno należy zawdzięczać ocalenie.

Strażniczką domu była tam 20-letnia panna. Gdy rozległ się sygnał alarmu i warkot motorów zbliżał się do stolicy — panna Zofia biegła na strych, wychodziła po drabinie na dach i stawała na swojej placówce. Kilka worków piasku i łopata, oto jej sprzęt obronny.

Czasem szły bombowce trójkami, czasem eskadry z 40 i 100 aparatów nadlatywały nad Warszawę. I wówczas burza zrywała się nad miastem. Do trzasku bomb rzucanych z góry dołączał się krótki, urywany, a szybki huk przeciwlotniczych wystrzałów naszej artylerii. Odłamki granatów leciały z nieba, siekły powietrze serie kul maszynowych, traj kotem wystrzeliwanych

taśm odpowiadały bombowce.

Pustoszały ulice, z górnych pięter mieszkańcy zbiegali do piwnic. A na dachu domu przy ulicy Wiejskiej przytulona do komina trwała postać niewieścia, gotowa w każdej chwili upadnąć na dach świecącą złotem bombę zapalającą strącić na ulicę, lub gdy dobiec nie zdąży i złota butelka już ogniem trzaskać zacznie — sypnąć na nią wór piachu i ogień w zarodku zadusić.

Pewno drżały jej ręce, serduszko bilo gwałtownie — ale przyjęty na siebie raz obowiązek ratowania bliźnich od pożaru spełniła do końca. Dom jej nie spłonął. Matka nie potrzebowała szukać schronienia u sąsiadów. Dzielna młoda panna.

Są i inne jeszcze objawy bohaterstwa kobiet.

Na rogu Placu Zamkowego wydawać będą chleb z magistrackiej piekarni. Trzy dni go już w domu nie miano. Uszkodzone bombą piece wypiekowe zawiesiły chwilowo swą pracę. Dziś w nocy wznowiły ją, chleb ma być gotowy. W kolejce czterystu kobiet, ludzi starszych, wyrostków stoi matka pięciorga drobiazgu. Mąż już dawno na wojnie — wiadomo, w jednej osłonowej dywizji, które pierwsze zmobilizowane zostały. Zasilki dojść nie mogły, bo poczta była zerwana. Pieniądzy na kupno chleba brak. Trzeba korzystać: Magistrat darmo go biedocie rozdaje. Trzeba cierpliwie stanąć w kolejce z plecionym koszykiem jeszcze przed świtem, by dzieci prędzej potem nakarmić.

Robi się już widno, niebawem sklepy otworzą, bo pieczywo już zwieźli. Aż tu nagle szum motoru nad głową. To znów nalot niemiecki. Zakołysał się tłum kobiet, mocniej do murów przyległ, jedna, druga rzuciła się do bramy, za chwilę grzechot kul maszynówki niemieckiej uderza o asfalt i ściany. Przecie Niemiec tak chętnie strzela do zwartego tłumu!

Matka pięciorga dzieci z miejsca się nie ruszy, co jej kule, co nalot! Dzieci na chleb czekają, ledwo głowę podniosła, gdy trójmotorowiec pikował.

Warkot motoru zmieszał się z trzaskaniem kulomiotu — trwało to sekundę. Płatowiec wzbił się znów w górę. Ale pod ścianą piekarni osunęły się ciężko trzy szare postacie, a wśród nich kobieta z koszykiem plecionym, czekająca tak długo na chleb dla swych dzieci...

Kiedyś na tablicy mieszczącej spis siostr Czerwonego Krzyża, które zginęły wynosząc rannych żołnierzy z zapalonego bombami niemieckimi szpitala, trzeba by dodać napis ku czci nieznannej Matki, która pod ścianą piekarni ginęła o świcie na ulicach Warszawy.

Trzeba przerwać dalsze opowieści swych bliźnich, objąć wzrokiem jeszcze raz główki całej rodziny i wyjść znów na

miasto.

Do Inspektoratu niedaleko. Tu na ulicy Pięknej mieści się ambasada niemiecka, więc też bomby i granaty przypadkowo ją oszczędzają. Cała dzielnica zyskała na jej sąsiedztwie. W ogródku Inspektoratu rozkwaterowały się szwadrony kilku pułków. Tworzy się zbiorowa brygada kawalerii, otrzyma zadanie zaczepne. Jak miło o tym słyszeć ! Czyby tutaj przydziału nie dostać ? Trzeba obmyśleć sposoby otwarcia jej drogi przez odcinek Pragi.

W drodze powrotnej wybieram oś marszu krótszą wprost przez Nowy Świat. Dla samochodów jest nie do przebycia, ale piechotą jakoś się chyba da ją sforsować.

Na najbliższym rogu dwóch ulic rozgrywa się zabawna scena. Mam na sobie płaszcz żołnierskiego kroju, więc grupa żołnierzy wzięła mnie za starszego wiekiem sierżanta. Dom się tam pali, a na dole sklep z dobrymi winami. Przecie szkoda cennych trunków. Jeden z żołnierzy wlał do środka i podaje innym butelki. Wszyscy już mają trochę w czubach. »Panie 67 5«

sierzancie do kompanii z nami ! zanim sufit się zawali niechże pan sierżant butelczynę węgryzna z nami wypijet — i częstuje mnie omszałym Tokajem. Tak bym chętnie wypił z wami chłopaki i za dobre serce podziękował! Nie wypada tego robić pułkownikowi niestety, bo powiedzą, że on was tutaj sprowadził i sklepy rabuje — ale wam Tokaj niechże idzie na zdrowie ! W płonącym domu wśród lecących granatów — to nie jest nawet rabunek!

Trzeba teraz przeskoczyć wysoki wał gruzów z rozbitej kamienicy. Po wielkowiejskiej ulicy chodzi się dziś, jak po piargach w Tatrach. Róg ulicy Pierackiego się pali, bodaj tam był piękny skład futer.

Wczoraj w sztabie podano mi adres garażu samochodów na ul. Konopczyńskiego. Próbuję tam się przedrzeć. Coś się tam zawałilo tuż za mną, ale to może tylko złudzenie. W garażu zwracam się do znajomego mi kapitana, dowódcy kolumny. »Mam dostać nowy samochód na miejsce rozbitego«. "Jest cały Super-Steyer — może pan pułkownik zaraz nim odjechać". Pożyczają mi szofera i jazda na miasto. Kapral kierowca trochę głową pokręcił, gdy podałem kierunek Pragi, ale to dzielny chłopak, jakoś dojedziemy. Miałbym go na sumieniu, gdyby na moście miał zostać. O ile przyjemniej mijać płonące domy czarną limuzyną, niż pętać się wśród nich piechotą. Baterie niemieckie przelożyły teraz ogień bardziej w środek miasta, więc nad Wisłą spokojniej.

Dojeżdżamy na Pragę bez wypadku, kaprała odsyłam z odjeżdżającym właśnie motocyklistą. Myślę, że .zdrów wróci do garażu. Mój szofer Janiak uradowany z nowego wozu. Tym

razem dobrze będzie go ukrywał pod dachem. Mówią mi, że pułkownik dyplomowany Szostak zabity. Dzielny stary znajomy. Prace przy kanałach skończone, próby ataków niemieckich odparte, może myśleli, że znajdą już puste okopy ?? Obiad kiepski i zimny, herbaty nie ma, gdyż brak wody. Jeszcze kilka meldunków do załatwienia. Potem czas wolny. Otwieram głośnik: cisza. Ach prawda! przecie ostatnia stacja nadawcza rozbita — fala polska zamilkła na świecie. Próbuję telefonować — cisza. Druty uszkodzone.

I dopiero w tej chwili budzi się myśl potworna: ostatnie skrawki wolnej Polski to jeszcze Hel, Modlin, Warszawa... Poza tym już wszędzie taka cisza śmiertelna, jak w radio i jak w telefonie... A dziś Warszawę nam tak strasznie palą!

Palą bo jej jeszcze nie zdobyli !

24. września.

Dzień zapowiada się spokojniej, choć noc była burzliwa. Niemcy atakowali równocześnie z dwóch stron od północy i od południa. Właśnie zaszedłem na kwaterę jednego z dowódców batalionów, gdy rozpoczęło się to nocne natarcie. Znane to dobrze wszystkim żołnierzom frontowym słuchowisko wojenne. Najprzód odzywają się pojedyncze strzały placówek, które po chwili zaczynają być coraz częstsze i bardziej nerwowe. Dołącza się do nich jeden, drugi karabin maszynowy. Odzywa się potem jakaś bateria armat, poszczególne strzały zaczynają się wreszcie zlewać już w jeden bulgot, który przemienia się w nawałnicę huków. Widać, że sprawa poważniejsza, że to nie walka patroli, ale już prawdziwa bitwa.

Gdy taki hałas ogniowy daje się słyszeć równocześnie na dwóch krańcach półkola, jaki tworzy nasz przyczółek mostowy, to wrażenie słuchowe jest tym silniejsze. Walczący na jednym odcinku nasłuchują mimo woli jazgotu strzałów drugiego. Raz zdaje nam się, że się ogień przybliży, to znów, że oddala. Jeśli przybliży się — to świadczyć może o przebiciu frontu na tamtym odcinku, jeśli oddala — atak widać odparty. I dwa objęte natarciem odcinki Pragi wzajemnie się kontrolują, może osłabiają wolę zwycięstwa, lub dodają sobie ducha.

Tej nocy oba odcinki równo wytrzymały. Cmentarzom niemieckim wokoło miasta przybędzie dużo świeżych mogił. Jakże inaczej przeżywamy w dowództwie obecnie ataki w stosunku do tego samopoczucia, jakie mieliśmy zaczynając obronę stolicy. Gdy przed dwoma tygodniami dochodziła z frontu nerwowa strzelanina, żaden z nas nie był pewien, czy za chwilę czołgi niemieckie nie wjadą w środek Pragi i czy nie usłyszymy na ulicy szybkiego tupotu butów żołnierzy uciekających w popłochu. Oddziały były świeżo zorganizowane,

dowódcy młodzi bez doświadczenia wojennego, pierwsze odwroty z nad granicy nadwerężyły moralną wartość wojska, a odwodów dużo nie było.

Teraz po dwóch tygodniach obawy są płonne. Można śmiało zasiać do wieczery lub przespać noc spokojnie wśród strzałów na froncie, bo odcinki nasze nie przepuszczą tak łatwo ani piechoty niemieckiej, ani ich broni pancernej. Nie darmo tysiące ludzi pracowało po nocach nad umocnieniem terenu, a tysiące bomb i granatów nad wyrobieniem spokoju ducha u żołnierza.

Na tyle jest już dziś nasz piechur otrzaskany, by wiedzieć, że Niemiec strzela, ale Pan Bóg kule nosi i bez Jego woli włos nikomu z głowy nie spadnie.

Skoro nocne natarcie zawiodło, a olbrzymie ilości wystrzelonych przez dwa dni pocisków wymagają u Niemców uzupełnienia — to nie dziw, że dzień jest dziś spokojniejszy. Jadę więc odwiedzić 15 pułk ułanów, który w składzie poznańskiej brygady przerwał się przed kilku dniami z Puszczy Kampinoskiej i nawiązał łączność z pierścieniem obronnym stolicy. Ma on za sobą ' piękną kartę jak zresztą cała kawaleria. Walki osłonowe na granicy, odbicie zajętego już przez Niemców Leszna i Rawicza, rajd kawaleryjski w głąb Dolnego Śląska, zajęcie Milicza, potem piękny udział w walkach armii »Poznań«, okrążenie od tyłu dwóch dywizji niemieckich, a potem konieczny odwrót i przebijanie się przez zagęszczające się w koło korpusy niemieckie. Skoro na 37 zmobilizowanych dywizji polskich uderzało 74 jednostek niemieckich, to stosunek sił rozstrzygał wciąż losy choćby najładniej założonych planów operacyjnych.

Pułk ułanów wkroczył do stolicy w porządku ze swymi taczankami i armatkami. Ale straty miał ciężkie: 13 oficerów poległo, 18 ciężko rannych, 7 pozostało w linii. Dowódca pułku pułkownik Mikke zabity. I teraz w Warszawie nie są jeszcze bezpieczni: ppor. rez. Z. z 17 p. uł., który szczęśliwie przeżył całą kampanię, wysłany bryczką po rozkazy dostał się pod granat, który urwał mu nogę. Leży teraz w szpitalu.

Duch żołnierza wszędzie dobry. Niepokojące są inne okoliczności: brak amunicji i wody. Natarcia niemieckie i obrona przeciwlotnicza wśród masowego nalotu nadszarpnęły poważnie nasze zapasy amunicji działowej. A brak wody jest gorszy od ograniczeń żywnościowych. Z aprowizacją nie jest dobrze. Gdym jechał do pułku jakiś strzał z rozpoznawczego samolotu pruskiego zabił na ulicy konia z kolumny amunicyjnej. Gdym wracał, już tylko kości żeber sterczały na chodniku. Mięso natychmiast odkrajała głodująca ludność. Z wypiekami chleba coraz większe trudności, bo piekarnie, gdy tylko zaczną dymić, zaraz są obrzucane bombami. Jeszcze jeden epizod przeżyty może dać dużo do myślenia. Oto szofer Janiak wyszukał sposobność do zakupu węgla. Zgłosił się młody urzędnik kolejowy z tym, że może kilka cetnarów odstąpić z posiadanego w domu zapasu. Gdym się zapytał, ile żąda za ten

cenny produkt, a byłem przygotowany na dość wygórowaną sumę — usłyszałem nieoczekiwaną odpowiedź: »Pieniądzy mi nie potrzeba — proszę mi dostarczyć za każdy cetnar służbowo przydzielonego mi węgla po jednym bochenku chleba, bo tego dla rodziny znikąd nie mogę dostać«. Umowa szybko stanęła. Moja codzienna porcja chleba nie powędruje do mej rodziny, a za to pójdzie tam worek węgla. Ale sam fakt takiej umowy jest niepokojący. Widać brak chleba daje się coraz bardziej odczuwać już nie tylko wśród biedniejszych, lecz i wśród sfer urzędniczych. Pewien zapas sucharów trzymamy jeszcze w magazynach wojskowych na »czarną godzinę«. Może będą potrzebne, gdy nam się przyjdzie przebijać.

Z brakiem wody sprawa przedstawia się znacznie gorzej. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, czym są wodociągi w życiu wielkomiejskim. Tak łatwo odkręcić kurek, i wannę wodą napelnić, że nikomu nie przyjdzie na myśl, jak życie się komplikuje, gdy ten metalowy kurek zasyczy tylko przy odkręcaniu, ale wody nie da. Przez dwa pierwsze dni zapasy porobione na skutek zarządzeń magistratu okazały się zbawienne. Wszak wszystkie garnki, dzbanki, miednice nieużywane stale miały być zawczasu napelnione wodą. To ratuje sytuację. Ale zapas się wyczerpywał, a co rano i wieczór ponawiana próba z kurkiem jakoś dotąd zawodzi.

Sytuacja zaczyna być groźna. Nie ma w czym zgotować obiadu, urządzenia kanalizacyjne przestały funkcjonować, po szpitalach obmycie ran, czy prze-pranie bielizny jest pod znakiem zapytania. Przydział wody dla gorączkujących chorych wypadło ograniczyć do minimum. Pojenie koni coraz trudniejsze.

Zapewne w mieście istnieją studnie zwykłe. W wojskowym Szpitalu Ujazdowskim nakładem dużej sumy przewiercono jeszcze w tym roku studnię artezyjską. Niestety od pierwszego bombardowania została ona tak mocno uszkodzona i zasypana, że znów kilka dni przejdzie, zanim ją uruchomią. Z innych studni korzysta się w miarę możliwości.

Przy każdej z nich stoi kolejka po 400 i 500 osób. Stoją w niej dzieci i panie z brylantami w uszach, siostry Czerwonego Krzyża i wyrobnice. Każda z nich ma w ręku garnek, byle nie za duży, bo spotka się to z protestem sąsiadów w kolejce. Studnie za szybko ulegają wyczerpaniu, więc podział musi być co do ilości ograniczony. Wszak mamy za sobą trzy tygodnie suszy, której wpływ jest już teraz bardzo widoczny. Kolejki stoją cierpliwie, póki nie ma nalotu. Gdy się zaczyna — a zdarza się to kilka i kilkanaście razy dziennie—stanie w kolejkach bywa niebezpieczne. Wszak lotnik niemiecki tylko czyha na sposobność zastrzelenia znów kilku kobiet i dzieci stojących przed studnią. Niech Polacy giną z pragnienia, może prędzej się poddadzą.

Inżynierowie wodociągowi pracują dzień i noc nad naprawą uszkodzeń, ale mało jest widoków na szybkie usunięcie tak

starannie dokonanych zniszczeń. Prezydent Starzyński zarządził rozwożenie wody wiślanej w dużych beczkach po bardziej od rzeki oddalonych dzielnicach. I ten środek nie podolał zapotrzebowaniu, a przy tym i tu obstrzał lotniczy robił już szkody, dziurawiąc beczkowsy, uszkadzając motory.

Gdy jadę z Pragi do Warszawy, zabieram na samochód konewkę wody źródlanej z blisko położonej rzeźni. Trzeba widzieć radość obdarowanych wodą znajomych, by zrozumieć, czym jest dziś woda w Warszawie.

Niemcy rozrzućili nowe ulotki zapowiadające użycie gazów trujących w razie dalszego oporu stolicy. Ani generał Rómmel, ani komisarz Starzyński nie mają zamiaru odpowiadać na groźby. Jakoś Niemcom bardzo przeszkadza broniąca się Warszawa, jeśli za wszelką cenę pragną ją zdobyć możliwie prędko. Zobaczymy, co jutro przyniesie. Maski w pogotowiu.

25 września.

Dziś Warszawa przeżywa swój »dobry« dzień. Niemieckie baterie kopiają znów na miasto i kilka eskadr obrzucało nas bombami, a odcinek Mokotowa jest silnie atakowany, ale gazów nie użyli. Warszawiaczy chodzą dumni. Nie dali się zastraszyć Szwabom.

Ze sztabu przyszło dziś zestawienie strąconych płatowców niemieckich. Nad samą Warszawą zestrzelono ich 127 sztuk, a drugie tyle mocno uszkodzonych wróciło może lub nie mogło już powrócić do swoich baz lotniczych. Wśród tej setki strąconych przeważają ciężkie — bombowce. Gdy pomyśli się, że w całej Polsce zestrzeliły nasze eskadry myśliwskie oraz działa przeciwlotnicze ponad czterysta samolotów i że przy tym Niemcy stracili co najmniej tysiąc najlepszych swoich pilotów, których tak łatwo nie zastąpią nowoszkolonymi, to widać z tego, że za darmo Polski nie bombardowali. Najlepszy pułk szturmowy lotnictwa Goeringa, jakby gwardia lotnictwa niemieckiego i jego najpewniejsza kadra, mocno się nad Polską skrwawiła.

Piloci niemieccy wykazują dużo odwagi, ale w walkach z naszymi z pierwszych dni wojny wyszło na jaw gorsze ich przeszkolenie. Nie umieją tak akrobatyką manewrować w powietrzu, jak nasze asy. Pośpiesznie tworzone olbrzymie lotnictwo ma swoje słabe strony.

Dziś znów strącono nad miastem dwa duże niemieckie bombowce i to od ognia karabinów maszynowych. Można było sobie wyobrazić radość obsługi tych dwóch placówek czynnej obrony przeciwlotniczej. Nie na darmo wytrzymały tyle nalotów, by wreszcie taki widoczny sukces osiągnąć. Przynależności

lotników nie stwierdzono. Spadli zwęgleni wraz z aparatami na ziemię.

26 września.

Dzisiejszej nocy udało się małe bojowe przedsięwzięcie. Oto dwie łódki z baonu akademików podpłynęły cicho poza front niemiecki, wylądowały obsadę, która napadła upatrzoną już poprzednio kompanię Reich-swehry w okolicy Wilanowa. Zaskoczenie było zupełne, zdobycz kilku cekaemów i jeńców bez strat z naszej strony nie jest bez znaczenia. Nasza młodzież akademicka wychowana już od dziecka w polskich szkołach wytrzymuje próbę wojny wcale dobrze. Gotowość do poświęceń na każdym kroku widoczna. Gdy szło o wyszukanie ochotników do przejścia linii niemieckich i nawiązanie łączności z oddziałami bijącymi się od strony Brześcia — zgłosiło się ich tylu, że aż serce rosło. A przecie misja była niebezpieczna. Ilu młodych podchorążych i podporuczników zasłużyło na Order Virtuti Militari po pulkach! Byle ich ciężkie psychiczne przejścia ostatnich tygodni nie załamały duchowo!

Wczorajsze popołudnie mieliśmy w sztabie urozmaicone. Oto właścicielka naszej kwatery złudzona spokojniejszym rankiem uznała moment za odpowiedni do powtórnej wyprawy na Pragę. Spowodowały ją służąca i kucharka pani mecenasowej, twierdząc że marznąć przy wybitych szybach dłużej nie mogą i muszą odzyskać swoje pierzyny i ciepłe ubranie ukryte w szafach mieszkania na Pradze. We trójkę pomaszerowały więc na most Kierbedzia i dostały się pod obstrzał działowy, który rozerwał dwóch żołnierzy, t idących tuż przed nimi.

Kobiety z płaczem i trzęsąc się ze strasznego przeżycia wpadły do dowództwa. Nie chcą otwierać szaf, nie chcą się pakować, chcą wracać na ulicę Wielką, ale przecie nie mogą, co one teraz poczną, przecie na most za żadne skarby nie pójdą !... Lamenty wypełniły nasz sztab. Pani mecenasowa pierwsza otrzęsła się z wrażenia, otarła oczy i zaczęła babami komenderować. Chlipiąc jeszcze przystąpiły do pakowania swych rzeczy, do wiązania jednego, drugiego, trzeciego tobołka, aż urosła taka góra, że unieść jej w żaden sposób nie mogły. A tymczasem rozgorzała strzelanina na dobre, na Mokotów szło równocześnie bardzo silne natarcie.

Ponieważ strzelanina nabierała coraz bardziej na mocy, pierzyny mogły na niej uciepnieć, więc załadowaliśmy nie bez emocji lamentującą kucharkę i służącą wraz z tobołkami na saperskiego łazika jadącego po chleb, panią umieściliśmy przy kierowcy zapowiadając mu, by jechał »ostrożnie«. Udało się w całej pełni.

Ileż ludzi w Warszawie marznąć będzie tej nocy przy rozbitych

szybach. Już coraz więcej słychać na ulicy ludzi kaszlących.

Dziś udało się znów dosłać dwie partie kozłów hiszpańskich na odcinki frontowe. Niezadługo już wszystkie będą miały po trzy druty przed sobą, z każdym dniem nasz front tężeje.

27 września.

Dzień z całego oblężenia najgorszy. Rano panowała cisza, ludzie biegli po żywność i wodę, załatwiali najpilniejsze zakupy. Ale cisza przedłużała się jakoś. Z frontu przychodziły zapytania, co to znaczy ? To samo pytanie stawiali na ulicach przechodnie? Czy to nie oznaka poddania?

Jadę do sztabu grupy. Tam mówią mi rzecz straszną: dziś podpisana będzie kapitulacja Warszawy.

28 września.

Snujemy się po kwaterach i ulicach jak zamroczeni tym, co się stało. Gdy w bliskiej rodzinie ktoś choruje ciężko, wiadomo również, że kryzys przyjdzie, że ratunku już nie ma. Ale pomimo to, gdy kochana głowa bezwładnie spadnie na podtrzymujące ją ręce — ma się wrażenie, że piorun strzelił w człowieka, że coś zawałiło z trzaskiem. Kto przeżył taką chwilę ten zrozumie...

I w nas trzasnął wczoraj podobny piorun. Na darmo każdy z oficerów sztabu wiedział, że chwila ciężkiej decyzji dla dowódcy obrony przyjść musi, ale łudził się, że grożące zło jeszcze się odsunie o kilka dni, o tydzień, że w tym czasie zajdzie coś zupełnie nieoczekiwanego, i że to »coś« od razu zmieni całą sytuację.

Przychodziły na myśl wspomnienia:

Nasz szwadron drugi legionowej kawalerii z roku 1914 leży w wiosce Cucylów na terenie Małopolski Wschodniej. Wystrzelaliśmy już całą amunicję, jesteśmy na tyłach nieprzyjacielskiej brygady kozaków, która nas z kolei zewsząd otoczyła, pozornie wszystkie nadzieje stracone i nagle... nieprzyjaciel odchodzi. Jego front przez naszą piechotę zaatakowany !

A w roku 1915 leżę z plutonem przy moście na Prucie pod Mamajesti koło Czerniowiec w tylnej straży Brygady. Na straconym posterunku, bez możliwości odwrotu. Korpus kawalerii rosyjskiej szedł na nas, ale nie doszedł, skręcił na wschód.

A piąta armia w naszej bitwie warszawskiej roku 1920. Przecie

walczyła na trzy fronty, a jednak wyszła zwycięsko !

I tak idą sznureczkiem te radosne wspomnienia odwróconych klęsk, niezałamań, idą, aż do dnia wczorajszego. I tu się ich ciąg nagle przerywa. Po dniach strasznych, ale i wzniosłych, po przetrzymaniu tylu ataków i nalotów mamy iść w niewolę?! Jak popatrzeć w oczy żołnierzowi, któremu codziennie mówiło się o konieczności przetrwania? A teraz daje mu się rozkaz: odłóż broń!

Na wiadomość o kapitulacji pojechałem natychmiast do sztabu generała Rómmla. Z jakim gorzkim spokojem, wśród ciszy zupełnej jechało się już przez mosty i ulice miasta. Jakże ta cisza wstydem i żalem paliła! O ile weselej, lżej było na sercu wówczas, gdy dodawało się gazu z niepewnością, czy jakiś granat nie trafi!

Dostałem się do generała. Zapewne nie byłem pierwszy, który dziś się u niego meldował. Służyłem pod jego rozkazami w różnych okresach wojny i służby pokojowej. To też mogłem śmiało mówić: »Czy to rzeczywiście prawda ?«

Generał odpowiedział spokojnie: »Rozumiem i szanuję pańskie żołnierskie uczucia, które mnie osobiście utrudniają już i tak straszliwie ciężkie zadanie. Była wczoraj u mnie delegacja miasta. Ludność cierpi za wiele. Nie można przeciągać struny i tak napiętej ponad wszelki podziw. Miałem powód inny. Dla dział pozostał tylko jeden dzień ognia. Najbliższy atak wyczerpałby te ilości. Ani bronić się, ani nawet przerwać się nie można, nie mając czym otwierać sobie drogi do przejścia. A zresztą dokąd się przerywać ?«

Generał zamilkł. Los Warszawy był przesądzony, ale nie los każdego z nas żołnierzy. Odmeldowałem się u dowódcy, o którym kiedyś historia musi napisać, że bronił stolicy do ostatniego ładunku.

Nie można było tracić czasu. Trzeba na gwałt rozpocząć przygotowania do przebiccia się przez pierścień wojsk niemieckich, otaczających Warszawę.

Gdym wracał ze Sztabu, ulice Warszawy były już zapelnione ludnością. Dziesiątki tysięcy mieszkańców wyszło ze schronów, z piwnic, z pod gruzów i z domów jeszcze całych, by odszukać swe rodziny, znajomych. swe warsztaty pracy. I tłum falował w różne strony. Nie było słyhać rozmów. Jeden z drugim przystawał przed odezwą generała Rómmla lub prezydenta Starzyńskiego, obwieszczającą o poddaniu miasta. Po wymęczonych głodem i nędzą twarzach kobiet splywały łzy żalu. Jakże drogie Ojczyźnie takie łzy Polek, niepomyślnych cierpień własnych, gdy zaczyna się jeszcze cięższe cierpienie poddającego się w niewolę miasta!

»Gdziekolwiek nas los rzuci, będziemy myśleli o tym, jak odzyskać niepodległość. Niech żyje Polska!« — głosiły ostatnie wiersze odezwy. W milczeniu czytali ludzie te słowa, a potem przyspieszali kroku, by na piątej, dziesiątej ulicy ujrzyć dom, gdzie mieszkali krewni, gdzie były ich sklepy, pracownie, biura, szkoły. Dobrze, gdy dom stał jeszcze, gorzej, gdy świecił wypalonym wnętrzem, lub przedstawiał ruinę. Trzeba szukać dalej, pytać się, trafić na ślad, dokąd wywę-drowali mieszkańcy, kto i gdzie ich przygarnął. Więc nerwowym krokiem szli dalej, gnani niepewnością, ale i nadzieją, że znajdą jeszcze swych drogich.

Gdzieś na rogu niespodziewane spotkanie, wymiana opowiadań o przeżytych dniach, setki pytań, szept odpowiedzi i dalszy marsz według uzyskanych wskazówek i objaśnień.

Kto znał historię, ten nie mógł wczoraj zapomnieć o jednym fakcie, że po obronie Paryża w r. 1870 z nędzy i głodu wynikała — komuna. A czymże było zniszczenie Warszawy, wobec ówczesnego — innymi środkami, jakże łagodnymi — prowadzonego oblężenia stolicy Francji? Mógłby ktoś przypuścić, że lud warszawski będzie tego dnia szemrał.

Nic podobnego nie zaszło !

Warszawa w dniu kapitulacji zachowała się równie godnie, jak w przebytych bitwach. Była w pełni stolicą, która uratowała honor Narodu.

Wychodzą rozkazy kapitulacyjne, które czytamy, jak zarządzenia pogrzebowe. Chorągwie i sztandary będą spalone w oddziałach uroczyście. Wszystkie formy kapitulacji honorowej przyznane zostały garnizonowi Warszawy. Oficerowie zachowują broń boczną, nie będą nikomu szabel oddawać, podoficerowie i szeregowcy ulegają zwolnieniu z wojska i mają prawo udać się do swych domów. Broń składana będzie w magazynach zostających pod dozorem polskich oficerów, aż do czasu gdy przyjdzie ją wydać władzom okupacyjnym. Żołnierz nie odczuje upokorzenia bezpośredniego odbierania mu broni. Ludność cywilna otrzyma środki żywności, ranni pozostaną pod opieką umów międzynarodowych Czerwonego Krzyża. Przychodzą zarządzenia techniczne wykonania demobilizacji żołnierzy, wydaje się zaświadczenia o wiernie odbytej służbie. Wysła lista raczej symboliczna przyznanych odznaczeń bojowych, porządkuje się drogi, by umożliwić przejazd ulicami.

Poleczone czynności spełniamy mechanicznie. Bo wewnątrz kotłują się myśli.

Byliśmy przednią strażą Europy o chrześcijańskiej kulturze. Zwalila się na nas trzykrotna przewaga piechoty, dziesięciokrotnie silniejsze dywizje lotnicze i pancerne niemieckie. Uderzyła na nas od tyłu jeszcze druga potęga —

Rosja Sowiecka. Polska straż przednia Europy w walce tej uległa — skoro ostatnia jej w terenie umocniona reduta — Warszawa musi się dziś poddać. Czyż za tą strażą przednią staną siły główne do walki o sprawiedliwość i wolność narodów ?

Ufajmy, że tak będzie. A więc trzeba tam iść, by dalej walczyć, choć droga jest daleka, a kraj zalany dwoma wrogimi wojskami.

Spokój wraca do serca. Wykańcza się przygotowania do oddania wrogom stolicy, ale równocześnie już obmyśla się plany dalszej wojny, może nie na polskiej ale chwilowo na obcej ziemi. Tego jest każdy z nas — obrońców Warszawy pewien, że po zakończeniu jednej walki rozpocznie się zaraz inna nie mniej zaciekła, i tak podawać sobie będą z rąk do rąk tradycje walki o niepodległość wszyscy Polacy, póki nie odzyskamy potężnej, wielkiej Ojczyzny, "która nie zginęła!"



ŁUNA
NAD
WARSZAWĄ



Zamek Królewski



Groby w śródmieściu Warszawy



Ruiny Warszawy - ul. Ordynacka



wersję sieciową opracował
Roman Antoszewski
Titirangi, Auckland, Nowa Zelandia
kwiecień 2005